MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 18. WARSZAWA, 5 MAJA 1935 R. CENA NUMERU 80 GR.

POTRZĄSANIE TOMAHAWKAMI

JEDNOCZEŚNIE z wejściem w życie nowej konstytucji z dn. 23 kwietnia rozległ się po kraju, zrazu przez radjo, potem przez oficjalny organ prasowy „Gazetę Polską" głos, zapowiadający nową epokę w życiu Polski:

„Zwycięskie zakończenie walki prawnej o zmianę ustroju Rzplitej uważamy nietylko za koniec pewnego, niezmiernie ważnego okresu, lecz zarazem za początek nowego, jeszcze ważniejszego, w którym podjęte zostanie w ramach nowego ustroju zadanie najtrudniejsze i najważniejsze: zadanie stworzenia nowego człowieka i nowego społeczeństwa przez wydobycie tych cnót i przytłumienie tych wad, jakie zawiera w sobie psychika polska".

Skończył się okres „ważny", nadszedł „ważniejszy", a z nim zadanie „najważniejsze": zmiana konstytucji duszy polskiej. Grono osób, w których imieniu publicysta wygłasza powyższe „uważamy", zdaje sobie sprawę, jak widać z tej zapowiedzi, że będzie to zadanie „najtrudniejsze". Był okres trudny, ale teraz będzie najtrudniejszy, pomimo niezmiernego uproszczenia machiny państwowej. Przedtem do jej prawidłowego funkcjonowania potrzebne było współdziałanie z centralą sił społecznych, obecnie naciśnięcie jednego guzika poruszy całą machinę i rozstrzygnąć może o losach historycznych narodu i państwa.

Poszło się w kierunku uproszczenia przez pominięcie czynnika psychicznego, tkwiącego w szarym człowieku i w społeczeństwie; tymczasem grono osób, które tego uproszczenia dokonało, stawia sobie jak widzimy, zadanie „stworzenia w ramach tego nowego ustroju — nowego człowieka i nowego społeczeństwa". Oczywiście trzeba zdać sobie sprawę z tego, że będzie to zadanie trudne.

My, publicyści prywatni, uważamy nawet, że będzie to zadanie niewykonalne i może nawet bylibyśmy zdolni współczuć publicystom sanacyjnym, że takich „najtrudniejszych" zadań się podejmują, gdybyśmy nie wiedzieli, że przemawia przez nich nałóg „bujania" opinji w duchu tradycyj majowych. Skoro się raz weszło na drogę rzekomej misji „sanacyjnej", to już trzeba trzymać się i nadal tej legendy, choćby przykro było się przyznać do tego, że w ciągu dziewięciu lat niczego się nie „wysanowało". Ot, w uroczystej chwili trzeba coś powiedzieć, *ut aliquid dicisse videatur*. Nie jest to misja, jest to — jeżeli wogóle o myśleniu mowa być może — conajwyżej przewidywanie skutków, że coś w psychice społeczeństwa stać się może, ale w jakim sensie, tego przecież przytoczony publicysta nie umiałby powiedzieć.

Wielokrotnie była już o tem mowa i w prasie i na *forum* parlamentarnem, że chodzi o rzecz prostszą, mianowicie o utrzymanie się przy stole biesiadnym tego grona, które w drodze faktu go obsiadło. O tem stale była mowa, nigdy zaś nie wysuwano tego motywu reformy, że celem jej jest stworzenie nowego człowieka.

My, publicyści prywatni, mamy, być może, zadanie łatwiejsze, nadajemy bowiem ostrze myśli rzeczy gotowej, którą tylko poznać trzeba, mianowicie woli życia swego narodu. Natomiast publicyści, używani do tłumaczenia twórczości tak spontanicznej, muszą komponować (z dodawaniem porozumiewawczego „mrugam ci") motywy jakiejś celowości. Za złe jednak możemy im to brać, że są zamało pomysłowi. To samo pisali przed dzie-

więciu laty o tej porze. Przypomina to cokolwiek chóry operowe: „Chodźmy wraz, chodźmy wraz", a stoją na miejscu.

Daleko pomysłowszy od publicysty „Gazety Polskiej" jest poseł z którejś tam brygady p. Jeszke, który w sanacyjnym „Dzienniku Poznańskim" napisał artykuł tej treści:

„Konkretnie mówiąc, ceregielowanie się z „opozycją dla opozycji" musi nareszcie ustać. Nowa ordynacja wyborcza powinna być tym mieczem, który gilotynować będzie wszystkie zapędy polityków tego autoramentu do władzy. Zdając sobie sprawę, że wpływy w społeczeństwie tych czynników opierają się nie na przekonywającej idei, któraby ostała się wobec realnych zadań i interesów narodu oraz państwa, ale na demagogicznych fikcjach i złudzeniach, których infiltrację w społeczeństwo umożliwia jedyny instrument, którym partje te dysponują, t. j. prasa, prasa, nieskrępowana niczem w zohydzaniu wszystkiego, co partji jest niedogodne. Dynamika ducha nowej konstytucji woła o drugi miecz, miecz, którzby zgilotynował łeb tej hydrze, ziejącej dotychczas bezkarnie jadem nienawiści i złośliwości i zatruwającej atmosferę w najrozsądniejszych i najwartościowszych środowiskach. *Vox populi* domaga się nowej ustawy prasowej, ustawy lojalnej i liberalnej wobec rzeczowej krytyki, lecz bezwzględnej wobec bałamuctwa politycznego oraz wobec złośliwości bankrutów i wątrobników politycznych.

Bez ordynacji wyborczej, gwarantującej wejście do ciał ustawodawczych tylko elementom konstruktywnym, a uniemożliwiającej dostęp politykierom zawodowym i bez ustawy prasowej, kładącej kres rozhulaniu się najgorszych instynktów czczej negacji i złośliwości, „opozycja dla opozycji", mimo nowej konstytucji, zatruwać i niepokoić będzie życie zbiorowe. Dobra natomiast ordynacja wyborcza i dobra ustawa prasowa, to są dwa miecze, któremi wykonać można i którymi wykonać trzeba wyrok śmierci, który na siebie „opozycja dla opozycji" przed *forum* całego zdrowo myślącego społeczeństwa sama wydała".

„Konkretnie mówiąc"... Ten przynajmniej bez mrugania okiem idzie ku celowi. Skoro już nie ma dochodzić do głosu społeczeństwo, to nie dość usunąć posłów z trybuny, trzeba odebrać głos prasie. P. Jeszke — nie w ciemię bity — w lot pojął sytucję. Oczywiście p. Car z p. hrabią i jeszcze z kimś (niech żyją wszystkie stany), po uporaniu się z ordynacją wyborczą, zasiądą do kombinowania ustawy prasowej.

I to jest bardzo znamienne, że uchwalenie nowego ustroju (z pominięciem „formalności") wywołało bezpośrednio tak złowieszcze głosy, połączone z objawami radości w jakimś tańcu z ciupagami, czy tomahawkami. Co ma być potem, i ci tańczący, a dla posiania strachu potrząsający tomahawkami, nie wiedzą. Coś przecie „z tego wyjdzie" — mawiał Rosjanin po wybuchu rewolucji.

Publicysta miarodajny z „Gazety Polskiej" daje taki wyraz swojej świadomości dziejowej:

„Nowa Konstytucja nie jest tylko przeciwstawieniem się brakom ustroju parlamentarno-partyjnego — jak próby, które oglądamy w innych krajach. W Polsce jest to zagadnienie inne i głębsze, jest to przeciwstawienie się nietylko niedawnej teraźniejszości, ale i długiej przeszłości, jest to rewolucja nietylko ustrojowa, lecz i duchowa, nietylko techniczna, lecz i psychiczna, nietylko prawna, lecz, co najważniejsze, i moralna. Jest to nietylko stworzenie norm prawnych, pozwalających na istnienie w Polsce mocnej i sprężystej władzy — której od czasów Batorego Polska nie zaznała — lecz zarazem stworzenie także kryterjów, któremi owa władza ma się powodować. Kryterjów odmiennych od tych, jakiemi mierzono działalność publiczną w ciągu wieków".

Byłoby rzeczą ważną wiedzieć, kto mówi te frazesy tajemnicze. Wiedząc, że każdy chciałby tworzyć na obraz i podobieństwo swoje, wiedzielibyśmy, jaki ideał nam jest stawiany. Musimy przypuszczać ogólnie, że przemawia człowiek, który był dumny z tych wzorów, jakie ostatnie dziewięciolecie wysuwało na świecznik. Przecież wysuwano to, co było najlepszego. Jesteśmy zaś pod świeżem wrażeniem... Komu to świat gubić!

Ale nie przekonywają nas także dotychczasowe próby wychowania młodego pokolenia według tego ideału. Nie widzimy zdecydowanej linji, jeno patrzymy na jakiś zygzak od Batorego do Lenina. Wartoby wreszcie powiedzieć Polsce coś wyraźnego, coby się chciało z nią zrobić w drodzej owej „permanentnej", „stabilizowanej" rrrewolucji, o której wyżej mowa.

Najgorsze jest to, że mając zmienić Polskę i jej historję przez zmianę psychiki, musimy do tej psychiki docierać przez etykę. Bo tylko drogą praktykowania w pewnym charakterze moralnym można psychikę ustalić. A dotychczas widzimy na polu moralności tylko ruiny. Ileż biadań nad tem zjawiskiem nawet w prasie sanacyjnej. Zdaje się więc, że naród polski będzie musiał po staremu sobie radzić z moralnością i psychiką, nie pokładając nadziei w renesans, zapowiadany przez publicystów, potrząsających tomahawkami.

Z. W.

MAJAKI STUDNICKIEGO

JAN: Czyś czytał już ostatnią książkę Studnickiego?

KAZIMIERZ: Którego Studnickiego? Archiwarwarjusza wileńskiego, czy też tego, co to podczas wojny trzymał się Beselera, a po wojnie dalej snuje swoje notoryczne germanofilstwo?...

JAN: Tego samego, Władysława. („System polityczny Europy a Polska", Warszawa 1935, bez wymienienia nakładcy).

KAZIMIERZ: Nie, nie czytałem i nie mam ochoty czytać. Ten człowiek jest mi podejrzany.

JAN: Nie bądź za surowy. To porządny człowiek. Czy to prawda, że on inspirował Beselera przeciwko przeciwnikom orjentacji niemieckiej — tego nie wiem i nie śmiałbym tak twierdzić. Ale gdyby nawet był tak czynił, to z bezinteresownego przekonania. On po swojemu chce dobrze.

Pozatem musisz przyznać, że ma za sobą wcale poważną działalność naukową.

KAZIMIERZ: Bezwątpienia. Ale co śmieszny, to śmieszny. Pamiętam tę pocieszną, malutką figurkę, wiecznie w rozwianym anglezie, z tą krawatką gdzieś na karku, biegającego po wszystkich zebraniach, dyskusjach, polemizującego na wszystkie boki...

JAN: Ale zawsze z zapałem, zawsze z przekonaniem... A co do jego książki ostatniej, to ta tembardziej zasługuje na uwagę, że cały ten ekstrawagancki Studnicki nie jest jednakże takim wyjątkiem, jakby się można było tego spodziewać.

KAZIMIERZ: Czyżby?! Czyżby ten notoryczny germanofil nie był zupełnym samotnikiem w naszem społeczeństwie?

JAN: Ależ nie, mój drogi. Tych ludzi więcej! Siedzisz w mysiej dziurze za światami i nie wiesz, co się święci. Oni się jeszcze żenują — nie licząc naturalnie wileńskiego Mackiewicza. Ale od czasu do czasu obnażą się chyłkiem. Ja sam tamtego roku na wiosnę, bawiąc przypadkiem w Krakowie, byłem na odczycie publicznym jakiegoś pana Bocheńskiego, imienia nie pomnę, całkiem inteligentnego zresztą młodego człowieka z Młodzieży Mocarstwowej, który, *avant la lettre*, wyrażał pomysły Studnickiego. Ale w tym samym czasie i w tem samem mieście, w rozmowie, której świadkiem był pewien wybitny profesor romanista, jeden krakowski hrabicz, znany („konjugacyjny") publicysta z ulicy św. Tomasza, ładny brunecik, o głosie złowieszczym, jak zgrzyt żelaza po szkle, wygadał się jakoś: „my Niemcom dajmy korytarz, a sami bierzmy Kłajpedę" — no i będzie spokój.

KAZIMIERZ: A ty co na to?!

JAN: Ja reagowałem po polsku t. j. za miękko i za grzecznie. Odpowiedziałem: „to byłaby zbrodnia", a powinienem był wrzasnąć: „Łajdactw nie gadać!"

KAZIMIERZ: Haniebny paradoks zdobytej niepodległości! Jeżeli wogóle ktoś w Polsce ośmieli się już nie gadać, ale myśleć! Więc i Studnicki?...

JAN: Co to, to nie; mówię ci, że to całkiem porządny człowiek... ta krawatka, nigdy jak należy, wszystko tłumaczy... te oczy błyszczące, niesamowite... Studnicki Niemcom Pomorza nie oddaje, owszem, perswaduje im, że Pomorze im niepotrzebne, bo „sprawa korytarza to mała idea, a wielki naród powinien być realizatorem wielkich idej".

KAZIMIERZ: Jakich?

JAN: „Bloku środkowo-europejskiego", z ekspansją na wschód. Ale i Francję, wyludniającą się, ukazuje Studnicki niemieckim apetytom na ziemię. Coprawda, jak się jakie państwo wyludnia, to chyba jest w tem jakaś subjektywna racja, jeżeli rozradzający się sąsiad chciałby dobrać mu się do jego ziemi.

KAZIMIERZ: Podziwiam twój objektywizm, z jakim, choć Polak, nie bierzesz pod uwagę węzłów uczucia, które historja wyrobiła. Czy pamiętasz, ja ja i ty i my wszyscy, i w głębi serca wielu legjonistów, przeżywaliśmy Verdun?... Ja nie wiem, czy w dziejach narodu uczucia ogółu są zawsze rozsądne i najrozsądniejsze, ale te w każdym razie takiemi okazały się... Myślę, że należy ufać tym bezpośrednim objawieniom, jakie płyną z twarzy ludzkich. Weź twarz Ludendorffa i wspomnij twarze Petain'ów, Foch'ów, Gouraud'ów...

JAN: Nie podejrzewaj mię o tę niepamięć; dobrze przypominam sobie, z jaką przyjemnością, przeglądając w 1916 roku czasopisma niemieckie, zauważyłem, że Niemcy zaczynają szanować swojego przeciwnika... I zapewniam cię, że z niesmakiem czytałem to wszystko, co Studnicki, za Hitlerem i Rosenbergiem, jak za panią matką, wypisuje o „zmurzyniałej" Francji. On Francji nienawidzi. Ale rzeczowym jego argumentem jest to, że Francja, według niego, jest i będzie militarnie i duchowo za słabą, abyśmy mogli na nią liczyć.

KAZIMIERZ: Decydującem zagadnieniem rzeczowem powinno być to, co jest dla nas pożądańsze: czy Niemcy na gruzach Francji, urosłe do niebywałej potęgi, czy też żeby potędze tej stawiona była tama? A co do militarnej potęgi Francji, to Sikorski, który o tem coś także wie, nie jest takim pesymistą, jak cywil Studnicki... I wolno chyba liczyć na zwykły, u tego, wygodnego zresztą narodu, patos w momentach niebezpieczeństwa... a także, dlaczego nie spodziewać się, żeby siłom wewnątrz Francji zdrowym nie udało się ostatecznie wypchnąć jej z tego impasu polityczno-moralnego, w którym ją widzimy? Żyd Blum i Cachin pójdą pod kluczyk, a bestjalsko głupia rewolta pójdzie do djabła lub ocknie się.

JAN: Zresztą, gdybyśmy nawet pominęli te wszystkie względy, które nam, uczuciowo i rozsądkowo, nie pozwalają w obliczeniach naszych małodusznie rachować na odciążenie nas ze strony Niemiec przez ich zaborcze skierowanie się ku Francji, to i tak, takie arcyrealistyczne rachunki byłyby w gruncie nierealne: bo jeśli *Fuehrer*, mimo całej swej antypatji do Francji, zapewnia, że Niemcy chcą mieć z Francją spokój i pokój, to zapewnienia te, nieszczere na dalszą, są napewno szczere na bliższą metę, bo chłopskie tęsknoty swastyckich Niemiec idą ku krajom szerokim i pustym, jakie są na wschodzie. Krzyżak w stal okuty, zmierzający ku sinym horyzontom wschodu słowiańskiego, to jest model dla niemieckiego męża i młodzieńca, w których się obudziły stare, dziedziczne instynkty. Co nie znaczy, aby tu się nasyciwszy potęgą, nie zechcieli kiedyś pod łagodniejszem niebem najeść się bogatszą zdobyczą... Ale wróćmy do tego, t. zw. po niemiecku i po Studnicku „korytarza", czyli po naszemu do Pomorza. Czy domyślasz się, jakim jeszcze argumentem chce Studnicki przekonać Niemców, że powinni zrezygnować z chętki na Pomorze? Czytaj na str. 265: „Odbiór od Polski korytarza byłby naruszeniem zasady narodowościowej, której Niemcy nie mogą się wyrzec, gdyż są narodem o mocnem poczuciu narodowem"...

KAZIMIERZ: Bzdury! W tem jest cały Studnicki, irrealny doktryner, pod pozorami ultrarealizmu. Skąd mu do głowy strzeliło, że akurat Niemcy zechcą tak lojalnie i objektywnie stosować się do *principe des nationalités!* Niemcy! Tembardziej Niemcy swastyccy, którzy wszystkim Niemcom poza granicami Rzeszy nadali obywatelstwo niemieckie, którzy każdy kraj, gdzie tylko stąpiła stopa niemiecka, uważają za swój...

JAN: Ale słuchaj dalej tych studnickich snów na jawie, przerwałeś mi w środku: „...i w imię zasady narodowej mają prawo do przyłączenia Austrji i północnych Czech z ich przeważającą ludnością niemiecką".

KAZIMIERZ: Rozbiór Czech?! Wiesz, taki pomysł pachnie mi czemś wstrętnem!...

JAN: A skąd ty taki czechofil? Coś nowego słyszę.

KAZIMIERZ: Mylisz się; czechofilem nie byłem i nie jestem, Czesi haniebnie nas skrzywdzili w Cieszynie, skrzywdzili nas w Tatrach, nad Popradem, w 1920 roku, kiedyśmy byli w ciężkich opałach, czyhali na nas z tyłu, mieliby ochotę przez naszą Ziemię Czerwieńską z Rosją się zetknąć; o tem wszystkiem trudno zapomnieć, w historji dotychczasowej sentyment nasz do Czech nie miał dalibóg sposobności wytworzyć się! Ale... ale sądzę, że cały nasz rozsądek powinien być po stronie Czech niepodległych i mocnych. To mi wystarczy, ażebym rozbiór i upadek Czech odczuwał jako pośrednio naszą własną szkodę.

JAN: Myślisz o olbrzymiem wzmożeniu się potęgi niemieckiej na wypadek rozbioru Czech?

KAZIMIERZ: Oczywiście. Ale przyznam ci się także, że choć w mojem teoretycznem pojęciu Polski, jako narodu, niepotrzebna jest Słowiańszczyzna, to jednakże, pod naciskiem rzeczywistości, odnajduję w zaciszu serca jakieś „słowiańskie" sentymenty. To są krewni moi! To słowo coś jednak, mimo wszystko, znaczy... W każdym razie, rozsądek mi powiada, że takie wzajemne sentymenty, wzajemne poznanie, jeśli ich jeszcze niema między Słowianami, to powinny być. I powiem ci, że bez Słowiańszczyzny solidarnej i nienaruszonej, nie widzę nietylko bezpieczeństwa Polski, ale także nie widzę prawdziwej wielkości Polski, wielkości politycznej i duchowej, która się nam tu z wieku i urzędu należy.

JAN: ?

KAZIMIERZ: Czy może być naprawdę wielki naród bez promieniowania swojej kultury, swoich myśli, swojego języka, swoich sposobów brania życia? Nie. A któż jest naturalnym odbiorcą naszej ekspansji kulturalnej, jeśli nie te narody, którym język nasz jest zrozumiały i krewny? Już dziś są jakieś nasze wpływy między Słowianami, bo już dziś mamy w naszym skarbcu to i owo naprawdę wartościowego; cóż dopiero będzie wtedy, kiedy podejmiemy naprawdę wielkie pomysły, jak życie urządzić i kiedy wynajdziemy oryginalne, zgodne z naszemi instynktami kulturalnemi, rozwiązania zadań powszechnych. W wielkich zadaniach pogłębimy się i rozszerzą się granice wpływu myśli polskiej...

JAN: Ho, ho, mówisz coś tak jak Braun w Zecie...

KAZIMIERZ: Mesjanistą nie jestem, bo mesjanizm Wrońskiego, to idea dedukcyjna, a moje nastawienie jest na wskroś indukcyjne i empiryczne. Ale sama ambicja „idei polskiej" jest i szlachetna i empirycznie słuszna, co najważniejsze.

JAN: Co do mnie, to ani rusz nie mogę zgodzić się na to, ażeby idea narodu implikowała jakąś specjalną misję dla każdego narodu zosobna.

KAZIMIERZ: Zgoda. Ale nie zaprzeczysz, że narodowi dobrze to robi, jeśli ma poczucie jakichś wielkich dziejowych zadań, nie zaprzeczysz, że Polska ze względu na swe położenie i ze względu na najlepsze tradycje swojej historji i swojej myśli, ze względu na to, że po zbolszewiczeniu się Rosji jest jedynym z narodów słowiańskich w typie zachodnio-europejskim, który pretendować może do mocarstwowości, ze względu wreszcie na to, że faktycznie Słowianie oczekują po nas, ażebyśmy my weszli w naturalną poniekąd naszą rolę kierownictwa dziejowego tych narodów słowiańskich, które pozostały wierne Europie — otóż nie zaprzeczysz chyba, że to wszystko powołuje nas do wielkich ambicyj, że to nakłada na nas wielki i dla nas samych zbawienny obowiązek?

JAN: A do tego wszystkiego potrzeba, ażeby Słowiańszczyzna była?

KAZIMIERZ: Oczywiście, bo pomiędzy zbolszewiczałą Rosją a niemiecką potęgą będziemy żyli życiem izolowanem, kiszącem się we własnej ciasnocie, życiem małem, na miarę...

JAN: ...horyzontów i wzrostu Studnickiego...

KAZIMIERZ: ...i dlatego zdrada Słowiańszczyzny, którą nam Studnicki z lekkiem sercem proponuje, jest zdradą naszej własnej wielkości...

JAN: ...jeśli nie zgoła bytu. Ale swoją drogą tacy, w guście Studnickiego, zwolennicy rozbioru Czech i przyłączenia Austrji do Rzeszy mają swój argument, którym wojują: że zaborczość niemiecka odpłynąwszy w tamte strony, od nas się odwróci i będziemy bezpieczniejsi. Słyszałem wysoce inteligentnego człowieka tak dowodzącego.

KAZIMIERZ: *O homines, o pectora caeca*, o ludzie krótkiego wzroku! Czy słyszano kiedykolwiek w historji, ażeby jakaś potęga sama siebie ograniczała, ażeby imperjalistyczne apetyty nie rosły wraz z zaborami? Każda potęga rośnie tak długo, dopóki nie napotka drugiej, równej lub większej, co ją ograniczy, albo dopóki w niej samej nie rozwiną się djalektyczne siły, co ją rozprzęgną i rozłożą. Kto myśli inaczej, nie ma żadnej ani wyobraźni dziejowej, ani wiedzy historycznej!

JAN: No dobrze, ale co zrobisz z Austrją? Po pierwsze, Austrja ma ciasne życie, z którego nie może być zadowolona, a po drugie, jak przeszkodzisz żywiołowemu procesowi, który pcha Austrję w ramiona Niemiec, procesowi zjednoczenia narodowego, który tu jeszcze nie został dokonany? Ja nie widzę w swem sumieniu narodowca niczego, coby można było temu procesowi przeciwstawić. Nawet Dmowski podczas wojny w swoich projektach nowego uporządkowania Europy przeznaczał Austrję Niemcom.

KAZIMIERZ: Zważ jednakże, iż Dmowski nie za darmo przyłączał Austrję do Rzeszy, bo wyobrażał sobie niezależność Prus Wschodnich i Litwę w federacji z Polską. Przy takim układzie rzeczy bylibyśmy silniejsi, łacniej byłoby nam znosić wzrost Niemiec.

JAN: Dobrze; ale cóż poradzisz na to, żeby Niemcy austrjaccy i Niemcy w Rzeszy nie chcieli się połączyć? Może Mussolini trzymać na Brennerze swoje zmotoryzowane dywizje, ale żywiołowy ruch narodowy prędzej czy później musi zwyciężyć.

KAZIMIERZ: Nie uwzględniasz różnic światopoglądu, więc tego, że jakaś bardzo znaczna część Austrjaków nie chce należeć do swastyckich Niemiec. Weź pod uwagę katolicyzm Austrji.

JAN: Obawiam się, że przeceniasz ten moment. Przecież katolicy niemieccy wcale temu nie zaprzeczają, owszem szczycą się, że głosy katolickie w Saarze niemało zaważyły na plebiscycie saarskim. Biskup Trewiru całkiem jawnie i oficjalnie rzucił swój wpływ na szalę. Katolicyzm niemiecki broni się przeciwko swastyckiemu uciskowi, ale koniec końcem chce pokazać, że zarzucać mu brak patrjotyzmu jest niesłusznie. A z drugiej strony, wielki matador przy Hitlerze, sam p. Rosenberg, a za nim i inni „nazi" mogą sobie wygadywać i krzyczeć na „żydowsko-rzymski Kościół", ale realizm rządzących zawsze będzie dbał o to, ażeby struny

nie przeciągać i Rzymu zbytnio nie wyzywać... — A Rzym, pod tym pontyfikatem, jak to choćby zawarcia konkordatu wnioskować można, wcale nie chce zadzierać ze swastyckiemi Niemcami... mając widocznie jakieś inne plany na oku.

KAZIMIERZ: ?

JAN: Zauważ, że równocześnie Watykan uprawia politykę filojapońską, np. niedawno utworzono djecezję w Mandżuko, napewno w porozumieniu z rządem japońskim... Czy, jak jedno z drugiem zbierzesz do kupy, nie domyślisz się czegoś ciekawego?

KAZIMIERZ: ...Krucjata?... na bezbożników bolszewickich?...

JAN: Któż wie? A w takim razie to niewątpliwe menażowanie Niemiec byłoby zrozumiałe.

KAZIMIERZ: Hm, hm... Myśl sama w sobie byłaby wielka...

JAN: ...gdyby nie fikcyjna przy obecnej mentalności Europy.

KAZIMIERZ: I pytanie, czy Europa współczesna g o d n ą byłaby występować pod godłem Krzyża? ...Bezbożnicy swastyccy z krzyżem na płaszczu przeciw bezbożnikom bolszewickim?! Farsa. Cała wyprawa krzyżowa obróciłaby się w starą krzyżacko-niemiecką imprezę kolonizacyjną i zaborczą.

JAN: ...z największem niebezpieczeństwem dla Polski, jak to świetnie wykazał Dmowski w książce „Świat powojenny i Polska": Otoczeni przez Niemcy od wchodu i zachodu mielibyśmy szyje w pętli. Ale naturalnie taki Studnicki tego nie pojmie! Całe nieszczęście w tem, że tu i ówdzie znajduje adherentów; np. ten mocarstwowiec, o którym ci już mówiłem, wywodził, że naszą misją dziejową jest rozbić Rosję i budować Ukrainę...

KAZIMIERZ: ...poto, ażeby na spółkę ze swym patronem dobrała nam się do gardła, a przynajmniej do Lwowa. Ludzie, czy wy macie pojęcie, co jest Lwów w Polsce?!

JAN: Nie bój się, Studnicki wynalazł dobry sposób: Wyrzucimy Rusinów nad Dniepr!

KAZIMIERZ: Chyba żartujesz? Można biegać z przekręconą krawatką, ale nie odrazu być nieprzytomnym...

JAN: Nie wierzysz? Proszę, popatrz na stronie 223: „Polska mogłaby pójść na e k s p e r y m e n t u k r a i ń s k i w e s p ó ł z N i e m c a m i, któreby stanowiły główny trzon bloku środkowoeuropejskiego, pod warunkiem, że nowopowstała Ukraina przyjmie na swe tereny trzy miljony Ukraińców z Polski, coby zabezpieczyło Polsce posiadane przez nią prowincje polsko-ukraińskie".

KAZIMIERZ: *Bloedsinn, Herr v. Studnizky, tiefer Bloedsinn!* Jak ten człowiek wyobraża to sobie? Jak on może pomyśleć, że 3.000.000 Rusinów zechce dobrowolnie opuścić swoje odwieczne siedziby! Co za tatarski pomysł, pomijając już, jakich sił naszych trzebaby do tego!

JAN: Ho, ho... Studnicki już tam napewno obmyślił pomocników do takiego — gwałtu... Ale szkoda o tem gadać na serjo.

(Dok. nast.) IDEM

ROLA ŻYDÓW W DZIEJACH POLSKI

OKRES POZYTYWIZMU

UTWORZONY na początku 1864 r. przez cara Aleksandra „Komitet dla spraw Królestwa Polskiego" rozpoczął „ściślejsze zespolenie kraju z cesarstwem rosyjskiem" od masowego wysiedlania rdzennie polskiego żywiołu na Sybir i konfiskaty dóbr ziemskich. Jak podają „*Les deportations en Siberie, le nombre des deportés et leurs sort dans l'exil*" (*Rkp.* Czartoryskich nr. 5577) urzędnicy rosyjscy pod koniec 1866 r, określali liczbę zesłanych wgłąb Rosji i na Syberję Polaków na 250 tysięcy osób. Był to kwiat narodu polskiego. Studenci, ziemianie, oficerowie, księża stanowili poważną część tych najofiarniejszych synów Polski. Przystąpili też Moskale do dalszego wywłaszczania szlachty. Na Ukrainie, Podolu i Wołyniu skonfiskowano Polakom w roku 1863/64 — 383.761 morgów ziemi, której wartość wynosiła setki miljonów rubli. Postarano się pozatem o przeprowadzenie uwłaszczenia włościan w sposób, który miał zapewnić wieczną wdzięczność carskim urzędnikom ze strony ciemnego i biednego ludu, a dziedziców doprowadzić do ruiny finansowej.

I oto w okresie ogólnej żałoby narodowej zaszedł wypadek, który wywarł wielkie wrażenie w kraju. Do Królestwa powrócił Leopold Kronenberg, przebywający zagranicą od chwili podania się Wielopolskiego do dymisji. Na powrót „ministra skarbu Rządu Narodowego" (tak nazywano Kronenberga), którego stanowisko i znaczenie w stronnictwie „Białych" były znane tysiącom ludzi, nikt nie liczył. Opinji publicznej starano się wytłumaczyć, że obecność Kronenberga w kraju potrzebna jest dla zbudowania ważnej kolei strategicznej z Warszawy do Brześcia Litewskiego. Posiadał on bowiem kredyt zagranicą i dostateczny mir w kraju. Lepiej jednak wyjaśnił ten niezwykły fakt Mikołaj Berg, który pisał („Zapiski o powstaniu polskiem", t. III, str. 424 — 428), że stało się to dzięki łapówkom, zapłaconym generałom rosyjskim.

Po powrocie do Warszawy wystąpił Kronenberg odrazu jako potężny finansista, ostry, lekceważący, z drwiąco-chytrym uśmiechem na ustach. Zaczął on bardzo często zaglądać do Zamku, i to nietylko w dni powszednie, ale i w niedziele, w czasie uroczystych, niejako urzędowych przyjęć, uzyskując zawsze przed innymi wstęp do gabinetu namiestnika. Hr. Berg nie brał łapówek pospolitych, nie odmawiał jednak współudziału w wielkich przedsięwzięciach lub sprawach finansowych, np.: przypuszczali go neoficcy bankierzy stolicy do udziału bez pieniędzy w różnych przedsiębiorstwach lub nabywali dla niego akcje. Namiestnik naturalnie zgadzał się na to, a po obrachunku z wielką przyjemnością chował do kieszeni pokaźną sumkę. Podobnych wspólników, jak pisze M. Berg („Zapiski..." t. III, str. 424 — 428), mieli chrzczeni żydzi warszawscy także i w Petersburgu. Kronenberg dla interesów tego rodzaju

utrzymywał w stolicy Rosji specjalnego agenta w osobie żyda Jelenkiewicza.

Mógł więc Kronenberg nie obawiać się odwetu zaborców moskiewskich za finansowanie powstania styczniowego. Nie siedział on w więzieniu, nie był pociągany do śledztwa, nie odwiedził Syberji i majątek jego nie uległ konfiskacie.

Zbyt rozległe i wpływowe stosunki posiadał on w stolicy nad Newą, gdzie nawet car był dla niego życzliwie usposobiony.

Zrozumiałe więc staje się, dlaczego i hr. Berg dawał pierwszeństwo Kronenbergowi przed generałami i cywilnymi dygnitarzami rosyjskimi, wpuszczając go o każdej porze dnia do swoich apartamentów. Gdy ukazała się w Warszawie broszura Ustimowicza „O spiskach i zamachach na życie hr. Berga”, na której końcu zamieszczono imienny spis znanych członków organizacyj powstańczych 1863 r., wśród których figurowało nazwisko „ministra skarbu Rządu Narodowego”, nie przestraszył się on tem zbytnio. Namiestnik bowiem posunął swoją przychylność dla „żydowskiego przyjaciela” do tego stopnia, że polecił pracę Ustimowicza wycofać z handlu, nie zważając, że sam pierwej dał upoważnienie do jej ogłoszenia.

Gorzej działo się w kraju kierowniczej warstwie narodu. W dalszym ciągu śledzono i przeprowadzano masowe aresztowania. Wchodzono do domów, rozbijano ściany, włażono do każdego zakątka. Nie darowano nawet podziemiom klasztornym; zaczęto rozbijać groby i otwierać trumny spoczywających tam snem wiecznym zakonników. W stosunku do ziemian represje trwały dalej. Wystarczyło najmniejsze podejrzenie, ażeby przyszedł nakaz satrapów moskiewskich przymusowej sprzedaży majątku nieszczęśliwca. Systematycznie przeprowadzana zagłada szlachty folwarcznej, będącej wyrazicielką polskiej idei narodowej, zapewniła wiele korzyści żydostwu polskiemu. Zrujnowane ziemiaństwo musiało kołatać do żydów o pożyczkę lub o posadę. Powstająca plutokracja, przeważnie pochodzenia żydowskiego, nie mogła być w niezgodzie z synami Izraela. Młodzież żydowska wstępowała gromadnie po 1863 r. do średnich i wyższych szkół. Zaroiło się w Królestwie od chrzczonych i niechrzczonych żydowskich lekarzy, adwokatów, techników, dziennikarzy i literatów. Zajmowali oni w szybkiem tempie miejsca inteligencji polskiej, wyniszczonej podczas powstania, gnijącej w kopalniach Syberji lub pędzącej tułaczy żywot na obczyźnie.

Pomógł żydom panujący wówczas nastrój — zespolenie eksperymentów asymilacyjnych i doktryny pozytywistycznej. Niedarmo Kronenberg i jego satelici potrafili natchnąć zmęczone społeczeństwo polskie myślą, że krajowi bardzo zależy na zyskaniu sympatji mas żydowskich, liczących w samej Warszawie około stu tysięcy osób.

Panujący wszechwładnie po powstaniu styczniowem pozytywizm włączył do swego programu doktrynę asymilacji. Prawie wszyscy pozytywiści owego czasu byli filosemitami, bratali się z żydami, uważając za wzór cnót obywatelskich bankiera Kronenberga, nagrodzonego przez rząd moskiewski za usługi orderem św. Włodzimierza III klasy (z czem było połączone nadanie dziedzicznego szlachectwa rosyjskiego) i bankiera Jana Blocha, którego testament zaczyna się od słów: „Byłem całe życie żydem i umieram jako żyd” *(I was my whole life a Jew and I die as a Jew... — „The Jewish Encyclopeda”, Funk and Wagnalls Company, New York and London*, t. III, str. 252).

Pozytywiści wyhodowali grupę literatów i dziennikarzy pochodzenia żydowskiego, która obsadziła tłumnie prasę warszawską. Wśród księgarzy i wydawców najpoważniejszych pism stolicy widzimy: Gluecksberga, Lewentala, Stan. Kronenberga, braci Orgelbrandów, E. Leo, M. Wołowskiego, Krzywickiego, R. Okręta i innych. Otaczają się ci chrzczeni i niechrzczeni dyktatorzy ówczesnej opinji polskiej współpracownikami też przeważnie żydowskiego pochodzenia, jak to: St. Kramsztyk, B. Rajchman, H. Elzenberg, D. Zgliński, Niedzielski, Niemirowski, Chęciński i inni. Pełno ich było zarówno w pismach zachowawczych („Gazeta Polska”, „Słowo”), jak i postępowych („Przegląd Tygodniowy”, „Niwa”, „Nowiny”).

Było jednak w Polsce wielu przeciwników asymilacji żydów. Obawiano się słusznie, że osłabione społeczeństwo nietylko nie spolszczy żydów, przyjmujących licznie w okresie pozytywizmu chrzest, lecz samo zżydzieje i pójdzie na służbę żydowskich ideałów. Zaczęto badać szczerość intencyj żydów, chcących nawrócić się na katolicyzm. Świadczy o tem korespondencja judofilskiego „Kraju” z Warszawy: „Wielu z pomiędzy przyjmujących chrzest żydów kołatało najprzód do kapłanów katolickich, lecz tak byli przyjęciem ich zrażeni, że zwrócili się do protestanckich” (S. Hirszhorn: „Historja żydów w Polsce”, str. 242). Zainteresowano się znowu Frankistami. Stwierdzono, że ci najgorętsi rzecznicy asymilacji żydów, chociaż przyjęli chrześcijaństwo przeszło sto lat temu, pozostają jednak w ścisłej łączności pomiędzy sobą i z synami Izraela.

Słusznie obawiali się patrjoci polscy—wznowionego po powstaniu styczniowem — masowego porzucania wiary ojców przez inteligencję żydowską. Na przykładzie Kronenberga widzieli, jak neofici polscy umieli przystosować się do każdej okoliczności. Pobłażliwość rządu rosyjskiego dla tego, który finansował 1863 r., nasuwała też niejednemu ciekawe przypuszczenia co do możliwości istnienia poza sutemi łapówkami innych, ukrytych dla społeczeństwa polskiego nici, łączących satrapów moskiewskich (często pochodzenia niemieckiego) z czołowymi przedstawicielami żydostwa polskiego. A że cele przewódców Izraela nie były przyjazne dla narodu polskiego, to łatwo się można przekonać, przeczytawszy okólnik kierowników politycznych kół żydowskich, wydany w listopadzie 1898 r. do żydów polskich. Odezwa ta brzmi:

„Bracia i współwyznawcy! Trzeba, ażeby kraj (t. j. Galicja — przypisek) został naszem królestwem... Starajcie się potrochu usunąć Polaków ze wszystkich ważniejszych stanowisk i skupić w waszych rękach wszystkie nici władzy społecznej. Wszystko, co do chrześcijan należy, powinno stać się waszą własnością, związek izraelski dostarczy wam potrzebnych do tego środków. Już zaczęto na ten cel zbierać potrzebne fundusze, a udaje się lepiej, niż przypuścić było można. Dla doprowadzenia do skutku planu wyrwania stanowczo Galicji chrześcijanom, wszyscy nasi wielcy i bogatsi zapisali się na znaczne sumy. Da baron Hirsz (wkrótce potem umarł — przypisek), dadzą Rotszyldzi, Bleichröderowie i Mendelsohnowie i inni dadzą... Bracia i współwyznawcy! Dołóżcie wszelkich usiłowań, ażeby doprowadzić do skutku to, co zamierzamy”... (L. Viel. *„Le Juif sectaire”* str. 173).

Jak w świetle tej odezwy, a była ona zapewne jedną z wielu, wygląda finansowy udział w powstaniu styczniowem Kronenberga, który przez poszczególnych badaczy historycznych jest wychwalany za to, że bez jego pomocy finansowej nie mogłyby organizacje powstańcze rozwinąć skutecznej agitacji? Jemu zawdzięczała więc w lwiej części Polska, że setki tysięcy najwierniejszych Jej synów marniało w tajgach syberyjskich lub gniło w ziemi. W kraju zaś pozostały masy biernych, wśród których żerowali synowie „narodu wybranego".

Przewódcy żydostwa polskiego nie zniechęcili się wstrętami, czynionemi wychrztom przez światlejszą część naszego społeczeństwa. Rzucono hasło małżeństw mieszanych. Wynaleziono wielu zubożałych arystokratów, pragnących pozłocić swe herby. W krótkim czasie przedstawiciele najstarszej arystokracji polskiej weszli w związki rodzinne z potomkami frankistów a także z neofitami. Wołowscy, Lascy, Epsteinowie, Kronenbergowie, Blochowie, Rotwandowie, Reichmanowie, Halpertowie, Goldfederowie koligacą się z Woronieckimi, Rzyszczewskimi, Potulickimi, Lasockimi, Ilińskimi, Skarbkami, Morsztynami, Wielopolskimi, Kościelskimi, Jundziłłami, Wodzyńskimi, Hołyńskimi, Poklewskimi i in. Klasycznym przykładem wychrzty, który, zdawałoby się, że wrósł nieodwołalnie w społeczność polską, był Jan Bloch, herbu Ogończyk. Wpływowy ten bankier, podkreślający swój patrjotyzm polski na każdym kroku, czego dowodem miało być skoligacenie się z pięcioma wybitnemi rodami kraju, inaczej przedstawił się potomności w testamencie swoim. Mógł się on śmiało zaliczyć do grona tych żydów, na których cześć wygłoszone zostało w 1875 r. w kahale lwowskim odpowiednie przemówienie. Mędrzec Syjonu oświadczył m. in., iż „...prawdą jest, że niektórzy żydzi dają się chrzcić, ale fakt ten tylko przyczynia się do wzmocnienia naszej potęgi, gdyż chrzczeni żydzi zawsze żydami zostają"... (Rudolf Vrba: *„Die Revolution in Russland, statistische und sozialpolitische Studien"*).

Służyli też często zrujnowani karmazyni polscy za parawan dla nieczystych, podejrzanych spekulacyj. Wynajmowali ich żydowscy plutokraci do zarządów swoich przedsiębiorstw, do komitetów, mianując ich członkami rad nadzorczych. Ponieważ utytułowani radcowie mieli takie samo pojęcie o handlu, o metodach „czystego kapitalizmu", jak chłop o astronomji, przeto rządzili się żydzi sami bez żadnej kontroli.

Przyszedł 1905 r., o którym pisał zasymilowany żyd J. Unszlicht („O pogromy ludu polskiego"), że „nastał moment decydujący — rozłamu między polskością i żydostwem". Potulna, wychowana przez frankistów: Krzywickiego, Matuszewskiego, Wołowskiego, Niemirowskiego i in., neofitów: Kraushara, Posnera, Mendelsohna i in. oraz żydów: Askenazego, Dicksteina i in., inteligencja polska zobaczyła z przerażeniem obok siebie, zamiast układnych neofitów i asymilatorów, aroganckiego Żabotyńskiego, Radka, Grosnera i in. Spostrzeżono gęstą sieć spisku antypolskiego, uknutego przez żydów, do którego wciągnięto nieuświadomione masy ludu polskiego. Z krzykiem „precz z białą gęsią" kroczyli po ulicach Warszawy czarni bundyści, subsydjowani przez ochrzczonego miljonera Łazarza Polakowa i... Powszechny Związek Izraelski.

Komitet statystyczny miasta Warszawy wykazał, że wypadki 1905 r. zburzyły i zniszczyły w Królestwie około 2.000 mniejszych zakładów przemysłowych, należących do Polaków. Cofnięty został o dziesiątki lat wstecz swojski, dopiero kiełkujący przemysł. Lud roboczy zubożał. Wielcy kapitaliści żydowscy drwili zaś sobie z tej „pseudo-antykapitalistycznej rewolucji".

STANISŁAW DIDIER

MASKARADA SIĘ KOŃCZY

OSTATNIA powieść Jana Rogali (pseudonim) p. t. „Wielka Maskarada" przenosi czytelnika w pewne sfery społeczeństwa niemieckiego, oświetlając jego nastroje z pierwszych lat ruchu hitlerowskiego. Jest to jej osobliwością, dochodzi jednak to wszystko do nas z bardzo dużem opóźnieniem, ze względu na gwałtowny rozwój hitleryzmu ostatnich czasów, a przytem i oświetlenia autora, dotyczące zagadnień z nim związanych, wypadły cokolwiek blado i niewyraźnie.

Zagadnienia te wszakże są dzisiaj jeszcze więcej „żywe i naglące", niż były przed paru laty, do rozważania więc ich może posłużyć i powieść J. Rogali[1]).

Charakteryzując stan rzeczy w Niemczech z przed 1933 roku, ktoś robi w powieści uwagę, iż tu rozgrywa się „wielka maskarada" w tej nadziei, że każdy z głównych trawestantów swoim nastrojem, jeśli nie strojem, swoją barwą ideową, udaną lub rzeczywistą, bądź zastraszy, bądź w błąd wprowadzi tych, którzy się temu widowisku przyglądają lub w niem udział biorą.

Pomijając już to, iż małe, bądź wielkie maskarady są zjawiskiem dość powszedniem w dziejach powszechnych świata, gdzie jedni drugim stale je urządzają, nie trzeba zapominać, gdy chodzi o Niemcy, że w takiej lub innej maskaradzie odznaczały się one od chwili podpisania Traktatu Wersalskiego — nie sięgając już dalej wstecz — i zawsze udawało się im kogoś zastraszyć czy w błąd wprowadzić.

[1]) „Wielka Maskarada" może zainteresować czytelnika polskiego z innych jeszcze względów. Autor pomieszał tu Polaków z Niemcami, ukazując nam ich na gruncie niemieckim w ścisłym stosunku towarzyskim ze sobą. Z obu stron mamy jednostki żyjące na wyższym poziomie aspiracyj i upodobań artystycznych, mimo to jednak do głębszego życia się nie dochodzi, gdyż i tu wtargnęła „wielka maskarada", która swoim nastrojem, bądź strojem, swoją barwą ideową chce w błąd wprowadzać. Polska strona, zresztą pozbawiona uprzedzeń rasowych, czy politycznych, dochodzi powoli w środowisku obcem do lepszego poznania samej siebie i, nieco rozczarowana, wycofuje się z obiegu, powracając z mądrością nabytą do kraju. Wszystko to, wprawdzie dość niejasno zarysowuje się w powieści, gdyż „wielka maskarada" odbywa się nie tam, gdzie ona najjaskrawiej występuje... Rzecz, jak sam autor przyznaje, cokolwiek spóźniona, ale „literatura" niezła.

Nie jest to wyłącznie ich zasługą, gdyż powodzenie swoje w tej mierze zawdzięczają winom — małoduszności jednych, zaślepieniu znów innych — tych wszystkich, na których intencję maskarady niemieckie były urządzane.

Gdy zdajemy sobie sprawę ze stosunków pomiędzy zwyciężonemi Niemcami i ich zwycięzcami, w czasie od końca wielkiej wojny aż do dni naszych, przychodzi na myśl historja tego sprytnego żydka, co to będąc oskarżonym o kolosalne oszustwo, bronił się tem, iż miał do czynienia z tak niezwykle naiwną jednostką, że wprost napraszała się ona, by ją oszukać, wina przeto była raczej ze strony oszukanego...

Niemcy prędko zorjentowały się w sytuacji powojennej i w postępowaniu swojem ze zwycięzcami kierowały się doświadczeniem, iż świat „lubi" być oszukiwanym i wprowadzanym w błąd.

Żeby lepiej go okpiwać i wyprowadzać w pole, Niemcy właśnie urządziły „wielką maskaradę", stały się olbrzymią fabryką wszelkiego rodzaju *„camouflage'u"*; wszystko w ich życiu zostało sfałszowane, udane, zamaskowane: państwo, polityka, wojsko, finanse, stosunki ekonomiczne etc...

Farsą była „Respublika" niemiecka, parodją ideały demokratyczne, bowiem polityka wewnętrzna i zewnętrzna Niemiec powojennych czerpała natchnienie z tych samych źródeł imperjalizmu i hakatyzmu pruskiego, jak w epoce Hohenzollernów.

Szantażowano świat raz bolszewizmem, znów inny raz własną nędzą, dowodząc, iż Niemcy, odrodzone cudzym kosztem i silne, potrafią wybawić Europę od zmory komunizmu, a nawet zorganizować anarchistyczny jej Wschód z pożytkiem całej ludzkości...

Wmawiano dalej, że zagadnienie odbudowy zniszczonych przez Niemcy krajów jest „zagadnieniem europejskiem", podczas gdy było przedewszystkiem zobowiązaniem niemieckiem, z uporem niewykonywanem i odwlekanem.

Następnie łudzono, tak licznych po wojnie miłośników pokoju, chęcią szczerej współpracy z nimi, celem utrzymania go i ustalenia na długie lata, a samemu dyszało się żądzą odwetu i naród własny podniecało się skrycie i jawnie w dążeniu i przygotowywaniu się do niego.

Tłumiono nieubłaganie wszelkie głosy, przemawiające za lojalnem porozumieniem się ze zwycięzcami, budzące w narodzie niemieckim ducha przeciwnego ideałom pangermańskim.

Wymordowano, jednego po drugim, bądź wygnano z kraju tych, co demaskowali przewrotną grę polityki niemieckiej.

Była to więc już „maskarada" z dodatkiem t. zw. *„murder-party"*, t. j. „zabawy z mordowaniem", ulubionej rozrywki towarzyskiej snobów amerykańskich...

Jak tego rodzaju „zabawie" oddawały się frenetycznie wszystkie niemal, idące po sobie, rządy Niemiec powojennych, o tem świadczą, z początku, trupy — Liebknechta, Landauer'a, Futrau'a, później — Haase'go, Pasche'go, nawet Rathenau'a i wiele innych, nie mówiąc już o tych, z czasów ostatnich.

Świadczą również ścigani i wygnani z kraju „pacyfiści" — prof. Foerster, prof. Nicolai, dr. Fried i t. p.

Maskarada w stosunkach z obcymi, *„murder-party"* dla swoich — jedno i drugie znakomicie dopomogło do postawienia trzeciej Rzeszy na nogi, do zwiększenia jej środków materjalnych cudzym kosztem (zaniechanie spłat i odszkodowań, uzyskiwanie kredytów i t. p.) wzmocnienia jedności i rozbudzenia ducha narodowego.

Gdy to wszystko zostało osiągnięte, wówczas można było pozwolić sobie na podniesienie przyłbicy i ukazanie oblicza lepiej odpowiadającego aspiracjom odwiecznym, przyrodzonej dumie narodu wybranego oraz przedniości jego rasy, twórczyni — o czem nie wątpiono nigdy w Niemczech — wszelkich wartości duchowych, jakiemi się szczyci świat cywilizowany.

Ogłoszenie, w dniu 16 marca b. roku, powszechnej służby wojskowej, wznowienie słowem tradycyjnego przedsiębiorstwa niemieckiego — jest punktem wyjścia dla nowego życia trzeciej Rzeszy, które może już rozwijać się swobodnie i osiągać swoje cele bez „wielkiej maskarady".

W istocie, w stosunkach zewnętrznych, jest ona już niepotrzebna i wszystko świadczy, iż tu zbliża się ku końcowi; w stosunkach wewnętrznych także nie jest konieczna, wszystkie bowiem prawdziwie żywotne grupy społeczeństwa niemieckiego stoją już pod znakiem swastyki i pozdrawiają się magicznem wezwaniem: *„heil Hitler!"*

Teraz można się obawiać nie tak „wielkiej maskarady", jak wielkiej *„murder-party"*, ale już jako zabawy z sąsiadami.

Wiele znaków na widnokręgu politycznym Niemiec ostrzega przed podobną zabawą. Już nie mówię tu o polityce niemieckiej, coraz to brutalniejszej i coraz wyraźniej posuwającej się po tradycyjnej linji — *„Drang nach Osten"* (Kłajpeda, Gdańsk i t. p.), ale że w rozbudzonym duchu Niemiec dzisiejszych, w ich planach i ambicjach, odzywa się z każdym dniem mocniej odwieczna żądza zdobycia tego, za czem żarłoczność narodu zawsze chciwie się oglądała i ogląda się teraz.

Więc nie tylko w powieściach niemieckich (jak np. Hansa Grimma i t. p.) odzywają się skargi i żale na to, iż się jest „narodem bez przestrzeni" (*„Volk ohne Raum"*), lecz skarga ta nie schodzi z ust całego narodu, który wciąż żyje myślą powiększenia owej „przestrzeni".

Pod tym względem hitleryzm nie wiele dodał życiu niemieckiemu, gdyż pragnieniem rozprzestrzeniania się, ekspansji, tchnie organizm Niemiec instynktownie; a jak ta żądza jest w nim potężna, świadczy fakt, że po „przestrzeń" zwracały się Niemcy nietylko tam, gdzie ją łatwiej można było zdobywać lecz i tam, gdzie zdobywanie połączone było z wielkiem niebezpieczeństwem, jak na Zachodzie.

Do ideologji, odpowiadającej tej żądzy przyrodzonej narodu niemieckiego, nie wprowadził hileryzm jakichś nowych pierwiastków, istnieje ona bowiem tam w niezmiennej postaci od szeregu pokoleń, a wszystkie one poddają się z rozkoszą jej władzy.

O wyższości rasy germańskiej nad wszystkiemi innemi, oraz o jej prawach do panowania nad światem, przeświadczeni byli zawsze Niemcy, tak samo przed wielką wojną, jak i teraz: tak samo ich uczeni, myśliciele, politycy i artyści jak dawniej twierdzili, tak twierdzą i dzisiaj, że wszystko, co jest najlepszego w cywilizacji nowożytnej, jest dziełem wiekopomnem rasy germańskiej, że ona sama właściwie reprezentuje ją całą.

Dawniej politycy, antropolodzy i socjolodzy Niemiec (Bülowy, Woltmann'y, Reimer'y, Chamberlain'y i t. p.) głosili, iż „czyny wojenne i intelektualne Niemiec nie mają sobie podobnych w świecie" i „że Niemcy osiągnęły taki stopień rozwoju artystycznego i naukowego, jakiego nie widziano od czasów Hellady i Cinquecenta", dzisiaj, inni myśliciele, głoszą to samo, używając niezmiennie tych samych argumentów i dowodów „naukowych". Tylko niegdyś wyglądało to częstokroć bardzo naiwnie[2]), dzisiaj natomiast bardziej brutalnie.

Oto jeden z dzisiejszych myślicieli niemieckich, Spengler, który już w pierwszych pracach swoich (*„Untergang des Abendlandes“, „Preussentum und Sozialismus“)* dowodził, że Niemcy jedynie pracują dla świata „na wielką skalę" i wciąż mu dają jakąś wartość, podczas gdy Francja i Włochy zdolne są tylko do pracy „na małą skalę", „w antraktach historji"; dzisiaj, zachwycony rewolucją hitlerowską z 1933 roku, w świeżem dziele („Niemcy i ewolucja historji świata") tak się wypowiada: „Niemcy“ — pisze — „są krajem, od którego zależą losy świata, dlatego, że są one dostatecznie młode, by przeżywać zagadnienia jego dziejów, by je stwarzać i rozstrzygać, podczas gdy inne narody zestarzały i skrzepły, i nic innego nie potrafią, jak tylko się bronić"...

Tak brzmi wyrok na tych, co nie mają szczęścia należeć do rasy wybranej, a mieści się w nim również uzasadnienie jej prawa moralnego do hegemonji nad innemi, i, co zatem idzie, do zdobywania ich „przestrzeni".

Ideały hitleryzmu są bardzo stare, ale za to żądza ich wcielania w życie jest znowu młoda, jak to już nieraz powtarzało się w dziejach Niemiec, zwłaszcza po wylizaniu się z ran, po podniesieniu się z klęsk doznanych, gdy się nabrało świeżego tchu, i gdy wspomnienie katastrofy dziejowej już tylko bladym cieniem błąkało się wśród pokoleń, wyrosłych po niej.

[2]) Woltmann np. przekonywał świat (w grubych dziełach: *„Die Germanen und die Renaissance in Italien“; „Die Germanen in Frankreich“*), że wszyscy prawie genjalni twórcy Włoch i Francji są pochodzenia germańskiego. Nawet Voltaire miał pochodzić od jakiegoś Waltera, ale tu „nauka" zawiodła autora, zapomniał bowiem, że prawdziwe nazwisko Voltaire'a było: Arouet... To samo zaszło z Giottem, który od Jotte'go miał się wywodzić. Tymezasem „Giotto" jest to spieszczone od imienia: Ambrogio, Ambrogiotto, stąd Giotto (po polsku byłby: Brożek).

Nową, w epoce hitleryzmu, jest właśnie ochota do czynu, do wyjścia z bierności, do tego, żeby stać się nietylko przedmiotem, lecz i podmiotem dziejów świata.

I ochota tego rodzaju ogarnia najszersze sfery narodowe, nietylko wyraża się w doktrynie intelektualistów, albo w apetytach grup kierowniczych, lecz i w bujnem życiu i zapale mas.

Ze wszystkich grup narodu niemieckiego, najbardziej zapalni, najbardziej wojowniczo usposobieni są, jak się okazuje, dawniejsi robotnicy marksiści...

Niedawno, w *„Nation belge"* — pisał o tem jeden z jej publicystów: „Trzeba stwierdzić, iż główna podpora polityki podźwignięcia się narodowego, czynnik stanowczy dynamizmu nacjonalistycznego, co stanowi istotę nowych Niemiec, spoczywa głównie w zapale patrjotycznym, ożywiającym masy robotnicze... To, co należy ustalić dla zrozumienia wypadków, i żebyśmy zdali sobie sprawę z wagi chwili tragicznej, jaką obecnie przeżywamy, polega na tem, że ani Hitler, ani armja (*Reichswehr*'a) nie potrafiłaby dokonać w ciągu dwóch lat tego, co dokonano, gdyby nie było czynnego i stanowczego poparcia ze strony proletarjatu".

Tego rodzaju stan rzeczy, uwalnia od konieczności przedłużania „wielkiej maskarady".

Kończy się więc ona w Niemczech, i już zaczynają się tam innego rodzaju gry i przedstawienia, że tu wspomnimy choćby o hołdzie, złożonym wodzowi wielkiej wojny, Ludendorffowi, o powołaniu generała von Seeckt'a i t. p.

Wobec tego i t. p. objawów nowego życia niemieckiego, przychodzą na myśl uwagi J. Klaczki, który w jednem ze swoich świetnych studjów, dotyczących polityki Prus, tak pisał w 1866 roku, w *„Revue des deux Mondes"*: „Nie zapominajmy, że ludy Germanji są nurtowane ogromną chorobą i tęsknią do pełnych pokusy chimer; to też nie trzeba zbyt ufać znanemu charakterowi naszych sąsiadów z tamtej strony Renu, ich naturze skłonnej do kontemplacji i limfatycznej. Te marzycielskie natury doznają niekiedy straszliwych wybuchów i przebudzeń".

To było kilkadziesiąt lat temu! Dzisiaj, ze słynnej „kontemplacyjności" niemieckiej nie wiele zostało, a „chimery pełne pokus" — nurtują głębiej i szerzej w duchu niemieckim.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

WIATR NAD DOMEM

Płacz ten na twarz moją nie wyjdzie;
wypłakałam go wierszem we wstydzie,
z głową wspartą o stół...
Wiatr zapewne, gwiżdżący nad domem,
wleciał oknem i tak pokryjomu,
niespodzianie mię struł.

Wschodem mię zachłysnął, zachodem,
słowikami, łąkami, ogrodem,
zapachem schnących dróg,
i przypomniał mi ów bór sosnowy,
co strzegł mojej nieopatrznej głowy,
jak długo mógł.

Szamotaniem, szumem wiatr się miota...
...Stare słowo: stary rym TĘSKNOTA...
...Ściółka z liści, olszyn ostry szept...
Przestań wichrze, o mury niczyje
w skrzydlatem opętaniu rozbijać
kudłaty łeb!

...Gdy ten wiersz napisany łzami
w suchym tomie stronicę poplami,
przewidziany zamąci kształt,
niechże dowie się czytający,
jaki wiatr tęskniący, łkający
nad wierszem stał.

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA

NA WIDOWNI

Ostatni przedstawiciel humoru staropolskiego. — Czemuśmy posmutnieli. — Satyra ostrożna i skrępowana.— Karykatura i normalność. — Propaganda niszczy ducha humoru. — Co mamy i co tracimy.

KIEDY przed dziesięcioma dniami przyjaciele i wielbiciele odprowadzali na Powązki trumnę ś. p. Mieczysława Frenkla-Niwieńskiego, był to już pogrzeb ostatniego zapewne, a w każdym razie ostatniego ze sławnych, przedstawiciela dawnego, staropolskiego typu humoru. Frenkiel był więcej niż interpretatorem fredrowskich postaci, był — rzecby można — sam jedną z nich: z tegoż świata, z tegoż rodu, z tegoż obyczaju. Jak coraz dalszym staje się dla nas ten świat i jego pogoda, jak coraz bardziej wydaje się już tylko przeszłością, mało znaną, niezbyt zrozumiałą!...

*

Cokolwiek dałoby się powiedzieć o czasach teraźniejszych, niewiele widać w nich wesołości, nastrój radosny nie przenika ani życia ani literatury, „dobry żart" jest czemś wyjątkowem, niemal niespotykanem. Humor polski nie rozkwita — to pewna. Jakież mogą być przyczyny tego zjawiska?

Niewątpliwie wpływa tu system polityczny z jego urzędową kontrolą, poszanowaniem „drażliwości" oficjalnych i mechanizmem uzależnień. Dosyć przypomnieć beznadziejność „ostrożnie" pisanych „Szopek" i „lojalnych" kupletów rewjowych, lub pism humorystycznych, których t. zw. „aktualne" dowcipy, to zwykły pretekst do łaszącego się o subsydja komplementu, czy też usłużnej robótki propagandysty. Błazen na dworze średniowiecznego władcy większą cieszył się, zapewnioną zwyczajem swobodą, i więcej także miał poczucia godności własnej, nie zniżającej się do tchórzostwa albo pochlebstwa, aniżeli niejeden dzisiejszy „satyryk", który rachuje na rządowe stypendja czy zamówienia w epoce t. zw. silnej władzy.

Ale nie tu jest główny powód jałowizny: wszak „państwowo" organizowaną literaturę może skutecznie zastąpić w tym zakresie podawana z ust do ust anegdota. Inna jest jeszcze, ważniejsza znacznie przyczyna, zacieśniająca krąg tematów humorysty, niezależna od oportunizmu ani cenzury. Chodzi tu o to, iż aby dostrzec śmieszność jakiegokolwiek stanu rzeczy, trzeba mieć jasne pojęcie o tem, co w danej dziedzinie jest normalne. Należy znać kształty właściwe, żeby zobaczyć, na czem polega groteskowość ich deformacji w karykaturze. Czyż byłby śmieszny żart z Rzeczypospolitą Babińską, gdy uważałoby się za rzecz naturalną, iż dostojnicy jej mogliby być powołani w każdej chwili, na takież same stanowiska — w Rzeczypospolitej rzeczywistej? Listę babińskich dygnitarzy odczytywałoby się z powagą, jak komunikat o nominacjach czy odznaczeniach. Lub jak tu bawić się komizmem kancelaryjnej prozy, gdy chwilami nie sposób się zorjentować, czy to parodja biurokratycznego okólnika, czy fragment mowy, wygłoszonej na otwarciu Akademji Literatury?

Zagadnienie ma zresztą zasięg szerszy, w różnym stopniu spotyka się je dziś we wszystkich krajach, a wiąże się ono z rosnącem znaczeniem propagandy, jako „nowoczesnego" narzędzia władania nad narodami. Zmysł humoru zawsze jest przejawem pewnej niezależności, krytycyzmu, wynikiem samodzielnego, osobistego na świat spojrzenia. Z tej też racji będzie on — z natury rzeczy — niebezpieczny dla systemów, które rządzenie oprą przedewszystkiem na wytwarzaniu suggestyj masowych i narzucaniu ich, w postaci haseł, ogółowi, za pośrednictwem udoskonalonych odpowiednio metod propagandowych. Im dalej to „ujednostajnianie duchowe" się posunie, tem konieczniejsze stanie się wyplenienie sposobów myślenia, które dla tej hypnozy zbiorowej będą przeszkodą. W „nowym, wspaniałym świecie", opisanym przez Huxley'a, zmysł humoru stanie się, poprostu, czemś niemożliwem...

*

Humor jest gościem rzadkim, nie zjawiającym się zawsze i wszędzie, jest on przywilejem narodów wolnych, posiadających ustalone pojęcia i oceny, a w każdym razie jednostek, myślących samodzielnie, umiejących kwalifikować zjawiska na podstawie określonych kryterjów i przekonań. Taki humor rozwinął się naprzykład w życiu angielskiem, jako produkt swobody, a równocześnie tradycyjnego ładu narodowego i wychowanej w nim psychiki jednostkowej. Podobne źródła miał i humor Polski dawnej, w podobnych warunkach wytworzony, owa „dobra myśl" Kochanowskich czy Kochowskich, wesołość Pasków i Rejów. Z fraszek, anegdot, pamiętników, z całego bytowania staropolskiego promienieje ku nam jakaś radość, pogoda, jakaś słoneczność, która do dzisiaj jeszcze, jeżeli zbliżyć się chociaż trochę do jej kręgu, oddziaływa nieodpartym swoim urokiem. A było tej jasności tak wiele, że jej tradycji starczyło na najmroczniejsze lata niewoli, gdy humor polski znalazł swój wyraz nieśmiertelny w „Panu Tadeuszu", w komedjach Fredry, w „Kronikach" Prusa... Któżby pomyślał, że tak posmutniejemy, iż aby pośmiać się dzisiaj, będziemy wynajmować sobie Słonimskich czy Tuwimów, Topolskich czy Hemarów?...

Mamy dziś wszelaką „—stwowość" i „—ściowość", urzędową pompę i propagandę, ideję „państwa autorytatywnego" czy nawet „totalnego", „wychowanie państwowe" młodzieży i „wyścig pracy". Prawią nam o tworzeniu „nowego społeczeństwa" w „nowym ustroju", o „planowej organizacji", o „nowych czasach", wymagających koszar i szablonu, o wartościach „oficjalnego kierownictwa". Radość z osiągniętych w tym kierunku zdobyczy wyrażamy w sposób również oficjalny, raz po raz, zgodnie z zarządzeniami policyjnemi, wywieszając po dwie flagi przy bramach domów, lub uczestnicząc w „uroczystych akademjach"...

Ale warto zastanowić się, co jednocześnie tracimy, wyrzekając się... choćby staropolskiego humoru, wyrzekając się ducha swobody, co go wykarmił i całej wogóle cywilizacji — czarnoleskiej...

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

O JAWNOŚCI RZĄDÓW. Sprawa ustroju politycznego w Państwie Narodowem stanowi obecnie główny temat dyskusji w młodem pokoleniu. Po latach beznadziejnie ogólnikowych rozważań, projekty ustroju narodowego zaczynają wreszcie nabierać rumieńców i zupełnie konkretnych rysów. Tę korzystną zmianę należy niewątpliwie przypisać temu, że polska myśl narodowa wyzwala się coraz bardziej od nękających ją doniedawna dziewiętnastowiecznych „izmów" i że w historji oraz w instytucjach polskiego narodu zaczynamy szukać nietylko przestróg (jak to czyniono dotychczas), lecz również wzorów i wskazówek.

Idąc po tej linji rozumowania, napisał ostatnio p. Wojciech Wasiutyński bardzo ciekawą i wysoce pożyteczną pracę [1]). Rasowego malarza cechuje fakt, że widzi inaczej rzeczy oglądane nacodzień przez tysiące ludzi. P. Wasiutyński jest zbyt rasowym intelektualistą, by widział tak samo, jak przeciętni zjadacze gazet i programów partyjnych. Sporzenie jego jest świeże i dlatego nieraz bardzo rewelacyjne. Często dostrzega rzeczy dotąd niedostrzeżone, a że wywija śmiałem piórem, pisze nieraz rzeczy dotąd nienapisane, które ktoś inny — bałby się może napisać. Np. strony, które p. Wasiutyński poświęcił w swej pracy potępieniu masońskiej struktury w organizacji politycznej, bez względu na to, czy dana forma organizacyjna służy wpływom żydowskim, czy też te wpływy zwalcza, czy posługuje się rytuałem masońskim, czy nie—takie „herezje" zostały w polskiej literaturze politycznej napisane bodaj po raz pierwszy. Należy wyrazić nadzieję, że problem ten, wprowadzony nareszcie na arenę dyskusji, tak długo z niej nie zejdzie, póki nie wywalczy sobie zrozumienia we wszystkich narodowych głowach.

Uchwalona przed miesiącem konstytucja choćby dlatego nie potrafiła wzbudzić szerszego zainteresowania, że każdy przeciętny obywatel doskonale wie, iż ośrodki władzy, zarówno według poprzedniej jak i obecnej konstytucji mają nadal pozostać zakonspirowane w lożach, i że rekrutacja „elity rządzącej" odbywać się będzie nadal nie drogami przewidzianemi przez konstytucję, lecz drogą awansu w hierarchji masońskiej. P. Wasiutyński czuje, skąd grozi niebezpieczeństwo, i domaga się zdecydowanego wyeliminowania rządów konspiracji z Państwa Narodowego.

„Naród rządzący" będzie rządził jawnie — albo, jak to bywało dotychczas, ktoś inny rządzić będzie za niego. (A. D.)

CO PEWIEN CZAS PRZYPOMINA NAM PRASA o pewnych aberracjach ducha niemieckiego. Do takich należy pogaństwo nowoczesne. Jak donosi PAT, w Niemczech przybiera ono postać kultu Wodza. Nic dziwnego, że PAT nie mógł pozostać obojętny na herezję tak osobliwą, i z obowiązku informacyjnego zawiadomił nas o pierwszym „meetingu" jej zwolenników. „Wczoraj wieczorem"— doniósł pod datą 27.IV z Berlina—„w pałacu sportowym odbył się pierwszy meeting „*Deutsche Glaubensbewegung*", na którym przemawiali obaj przywódcy ruchu nowopogańskiego: hr. Reventlov oraz prof. Hauer". Ten ostatni wyjaśnił zasady nowej wiary. „Zwolennicy „*Deutsche Glaubensbewegung*" wierzą — oświadczył prof. Hauer — że Bóg objawił się w postaci wodza narodu niemieckiego Hitlera, jak również w czynach jego. Wierzą, że Bóg powierzył narodowi niemieckiemu wielką misję dziejową...." W tem sformułowaniu doniosłości religijnej kultu wodza jest niewątpliwie coś, co obraża poczucie przyzwoitości dzisiejszego Polaka, osłuchanego tylko z hasłami rodzimemi. Coś brutalnie niemieckiego razi w tem bezwzględnem nazywaniu rzeczy po imieniu. U nas przecież też dusze i sumienia ludzi bywają oddane Wodzowi; ale któż widział zastanawiać się nad znaczeniem tego rodzaju etyki? Zdarza się, iż życzenie Wodza — ba, życzenie może niezręcznych wykonawców jego polityki — bywa nakazem moralnym dla współpracowników politycznych, silniejszym od jakichkolwiek innych nakazów — ale cóż to ma wspólnego ze zboczeniem religijnem germańskiem? Nie brak u nas ludzi, którzy dla Wodza oddać gotowiby życie, nie oglądając się na żadne inne względy; ale czyż ich zastępy szczycą się nazwą neo-pogan? Aktorzy polityczni nieraz zdają się u nas na rozstrzygnięcia wodzów w najdrażliwszych kwestjach moralnych, i na zasadzie tej rezygnacji z *forum* prywatnego sumienia łączą się nawet w duże bloki; ale któż tym blokom przyznawałby charakter religijny, a w zebraniach ich upatrywał najlżejsze podobieństwo np. do ekscentrycznych meetingów, o których PAT donosi?

Przysłowiowa miękkość naszej natury słowiańskiej wyraża się dziś nie w czynach zaiste, lecz w eufemizmach, pokrywających czyny. Stosunkowo mało mamy odwagi do spoglądania prawdzie w oczy. Nie sądzimy ludzi i polityk według kryterjum czynów. Często można skutecznie działać pod warunkiem, że działania nie określi się słowem odpowiedniem. Ziemianin np. oburzy się do żywego, jeżeli spotka w programie politycznym wywłaszczenie bez odszkodowania; ale gotów zachować się stoicko, jeżeli go wywłaszczą w taki sam sposób bez programu. Nazwy instytucyj i praktyk życia politycznego przykrywają zwykle u nas treść zgoła odmienną. Ktoś nieżyczliwy, patrząc na to, mógłby powiedzieć, że jest w tem spora doza zakłamania. Ale za to szczęśliwie obywamy się bez aberracyj, które mogą dać obcym asumpt do wydziwiania...

[1]) Wojciech Wasiutyński „Naród rządzący", Warszawa 1935.

NAUKA i LITERATURA

NIEPOTRZEBNA KSIĄŻKA

Z ZASIŁKU Funduszu Kultury Narodowej ukazała się niedawno rozprawa niejakiego dr. Cezarego Berezowskiego (kierownika jednego z referatów w biurze prawnem Prezydjum Rady Ministrów) p. t.: „Powstanie państwa polskiego w świetle prawa narodów". Warszawa 1934.

Niewiele pożytku przynosi ta rozprawa czytelnikowi. Nie publikuje w niej autor żadnych nowych dokumentów, nie daje nowego oświetlenia takich czy innych wydarzeń, nie uzasadnia też racji bytu swej pracy faktem nagromadzenia się w ciągu ostatnich paru lat jakiejś nowej obszernej literatury przedmiotu, którąby należało, zdaniem autora, uwzględnić.

A nawet wprost przeciwnie: autor nie zna zupełnie całego szeregu cennych publikacyj, których znajomość jest niezbędna dla autora rozprawy historyczno-prawnej z zakresu t. zw. genezy, a raczej rekonstrukcji państwa polskiego. Nieznane są mianowicie autorowi rozprawy takie dzieła, jak np.: Romana Dmowskiego „Polityka polska i odbudowanie państwa", ani tego rodzaju publikacje materjałów źródłowych jak np. „Ojczyzna i Postęp" (Dokumenty chwili), ani wreszcie tego rodzaju opracowania, jak Stanisława Huberta „Odbudowanie państwa polskiego jako problemat prawa narodów".

Co więcej, autor nie zdradza minimalnej chociażby umiejętności w opracowywaniu zagadnień historyczno-prawnych.

Niekiedy np. opowiada o różnych konferencjach w Berlinie, Cieszynie, Katowicach, Poznaniu i Wiedniu (str. 33), nie podając zupełnie, o jakie konferencje mu chodzi, ani nie wskazując źródła, na którem te swoje wiadomości i twierdzenia opiera. Tego rodzaju usterek w publikacji p. Berezowskiego są dziesiątki, a może i setki.

Niekiedy porusza autor jakiś dość ważny nawet szczegół, który słusznie zwrócił jego uwagę, a nie umie go czytelnikowi przystępnie przedstawić. Opowiada np., że data powstania państwa polskiego była rozważana na terenie międzynarodowym przed Stałym Trybunałem Sprawiedliwości Międzynarodowej w Hadze (str. 71), lecz nie podaje, jak została tam załatwiona.

Niekiedy znowu nie umie dać sobie rady z nawałem materjału faktycznego i rozwodzi się niepotrzebnie np. nad szczegółami organizacji samorządu terytorjalnego w b. Królestwie Kongresowem i nad szczegółami procesów emancypacyjnych poszczególnych państw sukcesyjnych.

Nie umie dać sobie rady autor z ustaleniem charakteru Polskiego Komitetu Narodowego w Paryżu, w świetle prawa narodów. Suggestja starego, sztucznego podziału norm prawnych na publiczne i prywatne, nie pozwala mu dojrzeć tej prostej formuły Michała Rostworowskiego: Polski Komitet Narodowy w Paryżu wykonywał *negotiorum gestio* rządu polskiego. Partyjne zacietrzewienie pozbawia publikację Berezowskiego cech objektywizmu.

Niczem są jednak wszystkie powyższe usterki i wady publikacji silącego się na oryginalność autora wobec merytorycznej strony jego wywodów. W szumnie zatytułowanym rozdziale: „Krytyka teorji ciągłości państwa polskiego" twierdzi autor, że rozbiory państwa polskiego nie były pogwałceniem norm prawa narodów, że, wprost przeciwnie, upadek państwa polskiego wynikał z norm prawa narodów *(sic!)*, że upadek ten wyrządził może niesprawiedliwość i krzywdę narodowi polskiemu, ale nie naruszył prawa samostanowienia narodu polskiego, bo prawo tego rodzaju było jeszcze wtedy nieznane (str. 83).

Nie wiemy, od kiedy prawo samostanowienia narodów jest znane panu Berezowskiemu, ale wydaje nam się, że najpóźniej w dniu 4 lipca 1776 r. było już ono uroczyście sformułowane przez naród amerykański.

Nie możemy jednak odmówić panu Berezowskiemu pewnej konsekwencji w uporze. Skoro raz stanął na stanowisku, że państwo polskie legalnie przestało istnieć w 1795 r. i że Fryderyk Pruski był poprostu wykonawcą norm prawa narodów, upiera się autor przy twierdzeniu, że obecne państwo polskie nie jest kontynuatorem dawnego państwa polskiego, ale zupełnie nowym organizmem państwowym.

Nieznane jest autorowi jedynie słuszne stanowisko, sformułowane jeszcze przed odbudowaniem państwa polskiego przez Franciszka Nowodworskiego, późniejszego pierwszego prezesa Sądu Najwyższego, że państwo polskie nigdy prawnie nie utraciło swego niepodległego bytu, że zachowało jego ciągłość i że stosunki faktyczne, wytworzone przez przemoc zaborców, posiadają jedynie charakter czasowy.

Nie zadał sobie autor, zdaje się, trudu przeczytania wstępu do Konstytucji Marcowej.

Niema znaczenia dla pana Berezowskiego orzecznictwo Sądu Najwyższego w Warszawie, który w szeregu swoich orzeczeń ustalił następujące tezy:

Jest błędem prawnym i historycznym mniemać, że państwo polskie przestało istnieć po trzecim rozbiorze. — Naród polski nie stracił poczucia odrębności i nie wyraził swej zgody na nowy porządek prawny. — Nietylko stosunki publiczno-prawne, ale i nielegalnie powołane do życia stosunki prywatno-prawne upadły z chwilą odzyskania niepodległości, odżyły natomiast uprawnienia legalnych właścicieli majątków, skonfiskowanych przez rządy zaborcze, a bieg przedawnienia uznano za zawieszony przez cały czas trwania rządów zaborczych na ziemiach polskich.

Cezary Berezowski uważa tezy te za niebezpieczne (str. 98). Dla kogo?

Szczytem zaś konsekwencji w uporze, a niekonsekwencji w poprawnem rozumowaniu, jest jego wykładnia ustawy z dnia 10-go marca 1931-go roku o wygaśnięciu mocy obowiązującej niektórych przepisów wyjątkowych. Wobec wyraźnego brzmienia ustawy, która mówi o odzyskaniu państwowości polskiej, autor wyjaśnia: „ustawa stwierdziła więc, że nastąpiło odzyskanie państwowości polskiej, a więc, że Polska jest państwem nowem" (str. 99). Gdzież tu logika?

Na tego rodzaju pseudo-naukowe tezy zużył pan Cezary Berezowski 385 stron bitego druku. Czy nie szkoda papieru?

Brak wykazu źródeł i literatury oraz brak indeksu osób, dopełniają obrazu jakości i wartości tej niepotrzebnej publikacji.

J. S. W.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

Napewno zainteresuje to miłośników badań historycznych, co obecnie ma na warsztacie jeden z najpracowitszych dziejopisów, prof. Uniw. Jagiellońskiego Władysław Konopczyński. Jak się dowiadujemy ma przygotowane do druku dwa dzieła: 1) dwutomowa monografja o Konfederacji Barskiej, 2) tom (20 arkuszy) „Polska a Turcja od Sobieskiego do rozbiorów". Poza tem w najbliższym czasie ukaże się w wydawnictwie księgarni Trzaski, Ewerta i Michalskiego 3) 20-arkuszowy tom „Epoka absolutyzmu" (1648 — 1788); dalej 4) ukażą się teraz pomniejsze prace w książce „Polska i Szwecja" (nakładem Instytutu Bałtyckiego); przedewszystkiem jednak wymienić trzeba dzieło, które od pewnego czasu najwięcej pracy pochłania 5) „Słownik Biograficzny", wydawany przez Akademję Umiejętności pod redakcją prof. Konopczyńskiego. W dn. 1 maja ukaże się już trzeci zeszyt tego pomnikowego wydawnictwa (do lit. Bar.) O wydawnictwie tem daliśmy obszerniejszą wiadomość w nr. 16.

Nie przestaniemy przypominać o konieczności prenumerowania Słownika.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Tow. im. Elizy Orzeszkowej wydało bardzo starannie w ozdobnej okładce głośny w swoim czasie utwór p. t. *„Ad astra"*, nazwany dwugłosem, bo wykonany składkowo, mianowicie przez Elizę Orzeszkową i Juljusza Romskiego (prof. Tadeusza Garbowskiego). Dzieło to, wyczerpane zupełnie na rynku księgarskim, wydano ku uczczeniu pamięci Elizy Orzeszkowej w przypadającą 18-go maja r. b. 25-tą rocznicę jej zgonu. Dochód z rozprzedaży książki Tow. przeznaczyło na wydanie zebranych listów Orzeszkowej. Z tych względów wydawnictwo zasługuje na gorące poparcie. Książka jest do nabycia w Oddziale T-wa im. Orzeszkowej w Grodnie w cenie 5 zł. 50 gr. (z przesyłką). Gotówkę należy posyłać na rachunek bieżący T-wa w Komunalnej Kasie Oszczędności w Grodnie — konto P.K.O. Nr. 80-965.

*

Do wielu istniejących już klubów literackich przybył jeszcze jeden, oznaczony literą *S*, jak czapka dawnego seminarzysty galicyjskiego lub jak próbny tramwaj warszawski. Bierze się poezję dziś „w kluby" — coby znaczyło, po staro-

świecku, że się ją bierze w karby, do kupy. Jednakże najczęściej z tych klubów właśnie szwy wyłażą, pruje się w nich cała poezja, jak całun Penelopy — i ostatecznie robota ta nie prowadzi do rezultatów. A szkoda!

W klubie S, najzdolniejszym literatem wydaje się J. M. Chudek, pracujący głównie na polu badań literackich i krytyki. Ale autor ten ma skłonność i do drugiej gałęzi literatury — do liryki. Umyślnie mówię o gałęzi, bo tomik wierszy Chudka (Warszawa, nakł. Klubu art. lit. S.) nosi tytuł „Drzewa" i cały szumi gałęźmi, jak las birnamski. Skroś tych gałęzi, skroś listków drzewnych przelewa się wciąż raz światło, to znowu deszcz — w najrozmaitszych odmianach: od kapuśniaczka do ulewy. Zresztą i same liście przelewają się w „Zielony wodospad". A to ciągłe przelewanie wyraził poeta zapomocą przeróżnych, powtarzanych dźwięków i wyrazów; nie brak tu i neologizmów i onomatopeicznych monosylab. Wiersz „Akwarjum okna" tematem i tytułem powtórzył motywy z pewnego zbiorku poetyckiego, wydanego przed siedmioma laty, ale w swej uwerturze jest już całkiem własnością duchową autora:

„kszy, łszy, mszy, uszy, pszy i tszy,
tszypi, kszypi, szyp ulewa...

Na upartego, może ona tak „szypieć" i „tszypieć". Inna rzecz, że ta „kszypiąca" woda niebardzo nas „pokszypia"; wolelibyśmy coś bardziej ożywczego, choćby jak ów przysłowiowy cukier. A i p. Chudek pewnie się poczuje silniejszy, gdy zamiast naśladować snobistyczne sztuczki, pójdzie drogą szczerego odczuwania sztuki i własnych dyspozycyj pisarskich. (J. B.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Sygnalizujemy czytelnikowi polskiemu krótką, ścisłą i pouczającą książkę o masonerji we Francji — *„L'organisation secrète de la Franc-Maçonnerie"*, napisaną przez Jean Marques-Rivière'a. Uzupełnia ona poprzednią pracę tegoż autora *„La Trahison spirituelle de la Franc-Maçonnerie"*, w której mowa była o ideologji masonerji wogóle. Obydwie te książki ułatwiają znakomicie zrozumienie polityki Francji współczesnej.

*

W Polsce znane są poglądy R. Dmowskiego na istotę kryzysu przeżywanego przez Europę. Kto chce znaleźć ich potwierdzenie i oświetlenie z innego nieco punktu widzenia, niech przeczyta książkę francuskiego pisarza André Siegfried'a p. t. *„La crise de l'Europe"* (Calman-Levy). Uzupełnia ona doskonale dawniejsze prace tegoż autora — *„La crise britannique au XX siècle"*, *„Les Etats Unis d'aujourd'hui"* i *„Amérique latine"*.

*

Znany pisarz Gaëtan Bernoville napisał w serji, poświęconej wielkim zakonom katolickim książkę o jezuitach. Tytuł: *„Les Jèsuites"*. Rzecz napisana z sympatją dla tego zakonu, krótka, lecz trafnie ujmująca zarówno oblicze duchowe św. Ignacego Loyoli, jak i jego dzieła, a także historji działalności apostolskiej zakonu.

*

P. Marie-Louise Bercher wydała bezpretensjonalne, lecz miłe wspomnienia z podróży do Dalmacji — *„Dalmatie. Invitation au voyage"* (*Librairie Hachette*). Książka użyteczna dla wybierających się na zwiedzenie riwjery jugosłowiańskiej, lub chcących sobie odświeżyć wspomnienia z pobytu nad Adrjatykiem.

*

Wspomnienia hrabiego Alberta Apponyi'ego, wydane w języku niemieckim pod tytułem *„Erlebnisse und Ergebnisse"* (Keit Verlag Berlin, 1933, str. 286), — to wspomnienia kulturalnego Europejczyka. Ten wybitny polityk węgierski brał czynny udział w życiu kulturalnym. Przyjaciel Liszta i Wagnera dzieli się z czytelnikiem wrażeniami wspólnie z nimi przebytych chwil. Opowiada swe spostrzeżenia z dwukrotnej podróży do Egiptu. Z Egiptu prowadzi czytelnika do Stanów Zjednoczonych, które odwiedził trzykrotnie. Stawia przed oczyma odwieczny Rzym, gdzie rozmawiał z papieżem i Mussolinim. Wreszcie opowiada o swych tragicznych przejściach na konferencji pokojowej w Paryżu, w której brał udział, jako przewodniczący delegacji węgierskiej. (J. K.)

ERRATA: W artykule „Ziemiaństwo" pióra K. S. Frycza, zamieszczonym w poprzednim zeszycie „Myśli Narodowej" omyłkowo w wierszu drugim, drugiej szpalty od góry, na str. 258 — wydrukowano — „ziemianką" zamiast „hrabianką" co zmieniło całkowicie sens zdania.

ZE ŚWIATA SZTUKI

WARTOŚĆ SZTUKI GOTYCKIEJ

NA WYSTAWIE sztuki gotyckiej w IPS'ie rzeźba góruje nad malarstwem, góruje nietylko większą liczbą dzieł, ale i wartością promieniującego z nich wyrazu. Sporo malowideł (pomijając inne ich wartości), graniczy o miedzę z prymitywem; płodów naprawdę wielkiego wykształcenia artystycznego w tym dziale — bądźmy szczerzy — tak znów wiele niema, gdy tymczasem wśród utworów rzeźbiarskich dość dużo takich, które, pod względem doskonałości plastycznego ukształtowania, mogą być zestawiane bez obawy z pracami najsłynniejszych mistrzów. Pozatem te rzeźby, dzięki zaletom polichromji oraz patynie posiadają dziś często — choć to wygląda na paradoks — większą także wartość kolorystyczną, niż niejeden obraz, nieraz w barwie dość obojętny. Jeśli chodzi o stronę techniczną dzieł wystawionych, trzeba wspomnieć, że materjałem rzeźbiarskim w tym wypadku jest stale drzewo; również obrazy są malowane temperą na drzewie, o podkładzie kredowym.

Szczegóły te, dotyczące techniki, były zapewne znane wielu czytelnikom, natomiast nie wszyscy prawdopodobnie wiedzą, iż rzeźbę tego rodzaju, częściowo, lub w całości oklejano płótnem. Polichromja więc nie leży bezpośrednio na drzewie, tylko na płótnie i gruncie kredowym, bo rzeźby przed polichromją również gruntowano.

P. Alfons Karny, artysta-rzeźbiarz, poinformował mnie, że używano tu również płótna w celach pewnego retuszu niektórych partyj bryły, naklejając je warstewkami. Oglądając niektóre rzeźby, częściowo zniszczone, możemy nieraz przekonać się, jak grube były wszystkie te warstwy: polichromji, gruntu i płótna, i jak nieraz stosunkowo głęboko znajdował się pod niemi właściwy materjał—drzewo. Nie była to więc rzeźba w drzewie, w dzisiejszem rozumieniu tej pracy, z jej bezpośredniością i efektami fakturalnemi (ślady ciosania).

Rzeźbiarz i malarz zbliżali się ku sobie w tej epoce bardziej niż dzisiaj, ich dzieła często dopiero wspólnie tworzyły całość kompozycji. Tak np. w ołtarzu, część główna, środkowa, składała się nieraz z figur rzeźbionych, boczne zaś skrzydła—z obrazów. Na obrazy spełzały z ramy rzeźbione, ażurowe ostrołucza; barwa nie kończyła swego żywota u brzegów malowidła, okrywała także i bryły postaci rzeźbionych.

Tyle o niektórych szczegółach techniki; świadczą one o konieczności dobrego opanowania arkanów rzemiosła artystycznego; teraz przejdźmy do określania zmian w ujęciu i tematyce, jakie przyniósł z sobą gotyk, rozpoczynając nowy okres po epoce romańskiej. Te wyobrażenia nie wynikają jedynie ze zmiany upodobań estetycznych, gdyż piękno nie było jedynym celem ówczesnej plastyki. Plastyka ta, wyłącznie religijna, miała inne zadanie przed sobą; służyła wierze, mocą więc swych plastycznych argumentów starała się przemówić do serc i umysłów wiernych. Zmiana psychiki ludzi ówczesnych, rozwój kultury, pociągnął za sobą zmianę środków wypowiedzi, kazał stosować inne argumenty plastyczne.

Wczesne okresy kultury zestawiamy czasem, dla bardziej obrazowego porównania, z okresem dzieciństwa w życiu ludzkiej jednostki. To porównanie będzie nam tu pomocne.

Rzeźba romańska, bardzo ściśle zespolona z architekturą, zrasta się z nią w sposób organiczny. W tych wypadkach, rozwijając swe koncepcje w odmierzonych wyłącznie do tego polach, np. głowicach kolumn, przybiera charakter zdecydowanie dekoracyjny. Nie wyraża, tylko zdobi. Nawet kształtem ludzkim posługuje się dla stworzenia ornamentu. Zachowując z nią zewnętrzne podobieństwo, rzeźba na większych polach, np. w fasadach i tympanonach portalów, zmienia jednak charakter i występuje tu — że się tak wyrażę — w innej roli. Kompozycje te świadczą, iż sztuka romańska nieraz przemawia do wiernych, jak do dzieci, stosując własne metody pedagogiczne. Uzmysławia poglądowo los złych i dobrych, przestrzega, strofuje, karci i sądzi. Ukazuje Chrystusa w Majestacie, zbawionych i potępionych; mówi, że grzech jest okropny i wyobraża go jako gada, lub ropuchę, mówi, że piekło jest straszne, straszne jak smok i widzimy tam wrota do piekieł, w postaci otwartej paszczy dzikiej bestji, która pochłania grzeszników.

Nie będąc jeszcze zupełnie pewną, czy prostaczkowie świadomi są całkowicie istoty dobra i zła, stara się sztuka romańska utrzymać ich przynajmniej w bojaźni przed grzechem. Chrystus nie jest tu człowiekiem, lecz Bogiem i Sędzią; jeżeli przybrał postać ludzką, to tylko dlatego, że inaczej nie moglibyśmy go sobie wyobrazić.

Dopiero gotyk przypomina nam znowu, że Bóg zstąpił na ziemię, i że żył na niej oraz cierpiał jak człowiek. Gotyk uczłowiecza sztukę i zbliża ją do ludzi. Sztuka romańska mówiła do grzesznika, jak ojciec do małego dziecka: nie rusz, nie wolno, zostaniesz ukarany. Gotyk traktuje go już jak starszego syna i powiada (ujęciem postaci Chrystusa): rób jak uważasz, ale pamiętaj, że On będzie cierpiał. I teraz, w epoce gotyku widzimy, jak sztuka pragnie ustrzec przed grzechem, nie z bojaźni przed karą, ale dla miłości Boga. Sztuka gotycka odwołuje się do naszych uczuć i pragnie nas wzruszać. W tych właśnie czasach powstają niezliczone „Madonny z dzieciątkiem". Jeden z poprzednich posągów (z Goźlic) przedstawia Matkę Boską, z małym Chrystusem, w czasie obrzędu błogosławienia. Matka trzyma przed sobą, ustawione na osi pionowej, Dzieciątko, Małego Boga, który błogosławi. W gotyku sam sposób trzymania Dziecka wyraża często stosunek uczuciowy tych dwojga istot. Nie jest to już mały Bóg, lecz dziecko prawdziwe, moglibyśmy powiedzieć: Jezus w życiu prywatnem, gdyby dzieje tego życia nie były fundamentem całego chrześcijaństwa. Widzimy teraz obraz tkliwości macierzyńskiej: Matka podaje Dzieciątku owoc — jabłko lub gruszkę, albo też trzyma je za nóżkę, gestem pełnym wdzięku. Mały Jezus, niepomny na chwilę straszliwego losu, na który dobrowolnie się skazał, igra z Matką: podaje Jej do powąchania kwiatek, ujmuje Ją palcami pod brodę, starając się zwrócić Jej uwagę na siebie.

Ten obraz szczęścia macierzyńskiego został nam pokazany nie bez powodu: z ufnością, iż — wzruszeni — postępowaniem swojem nie zmącimy jego oblicza.

Odsunięte są teraz w cień wyobrażenia Sądu, perspektywy nagrody, lub kary, — dzieła gotyku wypełnia prawie w całości życie Matki i Syna, oraz świętych i osób z ich otoczenia. Lecz tylko pierwszy okres tego życia posiada w gotyku ton tak wybitnie liryczny, utrwalony w licznych postaciach wspomnianych właśnie Madonn. Wyobrażenia dalszych etapów są już nasycone innym wyrazem, dramatyczności, i poprzez liczne malowidła, głoszące dzieje Męki Pańskiej, zmierzają ku tematowi, który treść wszystkich poprzednich zamyka — Ukrzyżowaniu. W obrazie — całą sceną, w rzeźbie wyraża się ono zazwyczaj tylko zasadniczym motywem krucyfiksu. I tu widzimy, jak gotyk posłużył się szczegółami zaobserwowanemi już z natury, by cierpienie Ukrzyżowanego oddać jeszcze z większą siłą i wzruszyć nas widokiem tej męki straszliwej.

W chwili, gdy to piszę, mam pod ręką dzieło niemieckie: „*Schlesische Malerei und Plastik des Mittelalters*", ilustrowany katalog wystawy wrocławskiej, w 1926 roku. Utkwił mi, z tej książki, głęboko w pamięci zwłaszcza jeden wizerunek Ukrzyżowanego: Ciało Chrystusa całym ciężarem zwisa w dół, żyły nabrzmiały na ramionach, krwawe łzy zastygły na powiekach, wydaje się nam, iż palce przebitych dłoni trzepocą w męce okrutnej... Z boku wypływająca krew soplami zgęstniała w grono, podobne gronu winnemu...

Ślady podpatrywania natury odkrywamy również w wielu obrazach. Jak zaś te usiłowania realizmu łączyły się z żywemi jeszcze tradycjami efektów dekoracyjno-ornamentacyjnych i umownem, symbolicznem przedstawieniem sensu religijnego, o tem — następnym razem.

WIKTOR PODOSKI

TEATR

POSKROMIENIE ZŁOŚNICY

TEATR Narodowy wystawił Szekspira „Poskromienie złośnicy" wesołą komedję staroświecką (koniec XVI w.).

Żart, oparty na ludowych opowieściach o sekutnicy, którą jednak, niby narownego konia, mąż obtargał jak, że w końcu stała się jak owieczka, — w czasach dzisiejszych przyjmowany jest przez publiczność dość melancholijnie, nie budzi bowiem wiary. Tak mogło być niegdyś, ale do wierutnych bajek już to złożone. Petruchio (Petrycy) miał w sztuce poskramiania pewną pomoc społeczną. Był pomocny ku temu ustrój hierarchiczny, władza mężowska coś znaczyła. Niechże dzisiaj kto poskromi kobietę! I psychologja nie pozwala, bo już wiadomo, że skłonności wrodzonych ani batem, ani głodem się nie zmieni. Dawniej może o tem nie wiedziano i Petrycemu jakoś się udało.

A przytem humanitaryzm dzisiejszy nawet żartów takich nie znosi. Im realistyczniej taka sztuka jest grana, im prawdziwiej bat świszcze, tem przykrzej patrzeć na piękną niewiastę, traktowaną jak zwierzątko.

Jedyny moment dla nas styczny z tą komedją to sztuka aktorska. Tutaj był to popis doskonałych artystów: p.p. Modzelewskiej (Katarzyna), Świerczewska (Bianka), Petruchio (Leszczyński), Grumio (Kurnakowicz) i inni. Były to kreacje niepospolite, nie robiące zawodu sympatjom, jakie publiczność dla tych artystów żywi.

W.

SPRAWDZANIE KWALIFIKACYJ

PROFESOR Stanisław Cywiński z Wilna zaprzysiągł sobie i mnie, że zniweczy moją książkę o Norwidzie, ponieważ nie odpowiada idei Norwida, którą on wyznaje. Niedawno (w nr. 13) udzieliliśmy mu lojalnie w „Myśli Narodowej" sporo miejsca, aby swoje pretensje wypowiedział, pomimo że już poświęcił całą książkę tej polemice. Metoda zapaśnicza p. Cywińskiego polega na dość poufałym chwycie, mianowicie na kwestjonowaniu kwalifikacyj przeciwnika, jako pisarza.

W „Myśli Narodowej", jak widzieliśmy, dał mi zły stopień z filologji, dowodząc, że nie mam prawa wkraczać w szranki naukowości. Obecnie znalazł sobie miejsce w „Tygodniku Ilustrowanym" (nr. 17), który skwapliwie wydrukował pieniący się złością protest przeciwko moim kwalifikacjom, jako krytyka literackiego i znawcy filozofji. Usiłuje skompromitować już nietylko daną książkę, ale mnie osobiście — na wszystkie czasy. Muszę tedy stanąć w obronie swojego paszportu literackiego. P. Cywiński tak złośliwie wyjaśnia rzecz czytelnikom „Tygodnika":

„Oto [Wasilewski] nazywa samego siebie „literatem, który niema czasu na rozległe studja". Nie od nich tedy rozpoczyna on swą pracę pisarską, lecz „nie poznawszy dokładnie przedmiotu, poprostu zaczyna od pisania w chwili, kiedy w temacie znajdzie się punkt zaczepny dla umysłu, budzący zainteresowanie".

To mają być moje słowa (wzięte przez autora w cudzysłów). Do nich p. C. dodaje komentarz:

„To nadzwyczaj cenne wyznanie rzuca nam odrazu snop światła na metodę pracy pisarskiej Wasilewskiego. Rozstrzyga tedy ów „moment", gdy po najpobieżniejszem choćby zapoznaniu się z przedmiotem znajdzie w nim pisarz ów jakiś punkt mistyczny. Wtedy „zaczyna się pisanie". Podkreślamy „pisanie"! Nie dążenie do zapoznania się dokładniejszego z przedmiotem, jak u zwykłego śmiertelnika, lecz odrazu „pisanie"!

Po przeczytaniu tych kawałków zatrzymałem się zdziwiony. Pisuję o sobie nieraz rzeczy, trącące mikromanją, ale skąd mi się wzięło tak niemądre pisanie! Zajrzałem do książki (s. 10) i czytam:

„...Zamiar pisania u literata, który niema czasu na rozległe studja, powstaje jednocześnie z zamiarem dokładniejszego poznania przedmiotu; poprostu zaczyna się od pisania w tym celu, aby się utrzymać w zamiarze studjowania. Praca zaczyna się od chwili, kiedy w temacie znajdzie się punkt zaczepny dla umysłu, budzący zainteresowanie. Bez emocji, jaką sprawia zaspakajanie ciekawości, nie da się poczynać żadnej pracy badawczej. Norwid daje taką emocję"...

Co przez to chciałem powiedzieć? Że literat (wolny krytyk), nie związany obowiązkiem pisania podręcznika i studjowania pod rząd wszystkich autorów, — bierze się do tego tematu, który go czemś zainteresuje, kiedy znajdzie dostateczną podnietę do ciężkiej pracy studjowania i pisania. Rozpoczyna tę pracę z chwilą postanowienia, że będzie o tem pisał. Zjawisko w świecie pracy literackiej znane. Któryś z wielkich pisarzy dawał taką radę: chcesz jakie zagadnienie dobrze zbadać, zacznij o niem pisać. Ale czy to znaczy, żeby pisać bez studjowania, jak sobie wyobraża p. C.? P. Cywiński przytem sfałszował dla efektu moje słowa, gdy cytuje w cudzysłowie:

„...nie poznawszy dokładnie przedmiotu, poprostu zaczyna od pisania"...

Tego zdania u mnie niema; powiedziałem jedynie, że zamiar pisania powstaje jednocześnie z zamiarem dokładniejszego poznania przedmiotu; decyzja pisania w ten sposób staje się podnietą do studjów. Ale to nie znaczy, żebym miał pisać „nie poznawszy dokładnie przedmiotu". To nieładnie ze strony badacza, który całą wartość naukowości widzi w dokładnem cytowaniu.

Następnie p. C. wkłada mi w usta słowa: „nigdy nie studjowałem filozofji" i stąd bierze pochop do upatrywania w mojej książce „skandalu", że przypisuję dualizm światopoglądowi Norwida, pomimo rzekomego wpływu Fichtego, który przecież, jako idealista, był monistą.

Czuję, że p. Cywiński wciąga mnie w śmieszną sytuację, zmuszając do polemiki z sobą, ale muszę i tę rzecz wyjaśnić. Nie pamiętam, gdzie te słowa o swoich studjach filozoficznych powiedziałem, ale istotnie mogłem tak rzec, bo rozróżniam „studja" od zwykłego zdobywania wiedzy w szkołach, czy przez lekturę. Zapewnić prof. Cywińskiego mogę, że kwalifikacje moje w tej dziedzinie nie ustępują normalnym, jakie posiadają poloniści. Słuchałem pilnie H. Struwego przez dwa lata (1884 — 1886), potem niemca Renenkampfa w Kijowie i z historji filozofji mam w dyplomie stopień celujący. Wiele też czytałem, sporo też przemyślałem, a to także bywa przydatne.

Nie potrzeba zresztą „studjów" nad filozofją, by się orjentować w sposobie myślenia młodego piątoklasisty, chwytającego poglądy filozoficzne z pogłosek. Stwierdzałem dwoistość Norwida i w strukturze duchowej i w poglądach. Idealistyczny system, jak i zresztą system realistyczny, jest oczywiście monistyczny, ale ponieważ zajmuje się godzeniem sprzeczności (jak byt i myśl, materja i duch, zło i dobro), to wystarcza, aby umysł, nie tyle spekulatywny, ile artystyczny, biorący świat „na oko", w tych sprzecznościach się gubił. Ratujący się parabolami Norwid nie miał systemu całkowitego, a widział i pisał tak, jak żył, podwójnie.

Bardzo mi przykro, że przyprawiłem p. Cywińskiego o „rumieniec" wstydu, ale muszę się przyznać, że niezrozumiałe jest dla mnie jego stanowisko, gdy dostrzeganie dualizmu u Norwida w związku z Fichtem uważa za „skandal", bowiem ten dualizm jest „arcychrześcijański". Chrystjanizm w istocie swojej jest też monistyczny.

Mówiąc o dwoistości poglądu, miałem na myśli to, co z każdego podręcznika jest znane. Przytoczę ustęp z „Historji filozofji" prof. W. Tatarkiewicza, który, streszczając poglądy Fichtego, pisze:

„Przeciwstawienie przedmiotu i podmiotu jest nieuniknione; przedmiot nie da się pojąć bez podmiotu, ani też podmiot bez przedmiotu. Konsekwencją tej dwoistości jest złudzenie, że świat jest dwoisty, że byt i myśl są całkowicie innorodne. Sama myśl nie jest zdolna przezwyciężyć tego złudzenia, ale uczyni to wola".. (T. II, 220).

Tutaj, w tem złudzeniu, według mnie, trzeba szukać Norwida. Niema więc „skandalu". Istnieje tylko między mną a p. Cywińskim nieporozumienie, polegające na tem, że on traktuje Norwida jako filozofa, który dla jakiegoś powodu pisywał wierszem, a ja w nim widzę artystę-poetę.

ZYGMUNT WASILEWSKI

NA MARGINESIE

Czytając dzienniki sanacyjne, przeznaczone do „atakowania psychiki polskiej" w celu jej zreformowania, mamy wrażenie, że oddajemy się lekturze „Izwiestij" czy „Prawdy" moskiewskiej.

W „Kurjerze Porannym" np. rzucają się w oczy (w jednym numerze z 27.IV) takie tytuły: „Czekamy na marsz roślinności na Warszawę", albo „Wszyscy weźmy udział w ataku na bezrobocie". Jeżeli się doda do tego upstrzenie kabalistycznemi oznaczeniami nazw instytucyj (jak PUWF) efekt mody bolszewicko-żydowskiej jest „stuprocentowy". A treść—niestety—odpowiednia.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM